Nr. 106. Lwów. — Niedziela dnia 6 maja. **Rok 1888.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalną. Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują: Trafika J. Wadowca, przy ulicy Czarnieckiego ... — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok ...). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika ...

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: B. 5. p. W. Jana w O. Jutro: Domiceli P. | Adres Redakcji i Administracji Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 4 m. 28·0, Zachód „ „ 7 „ 25·0 | Długość dnia g. 14 m. 57·0, Przybyło dnia 3·0 min.

Przegląd polityczny.

Przyczyna oziębłości, która podobno nastąpiła w stosunkach niemiecko-rosyjskich, zawsze jeszcze nie przestaje być tajemnicą, ale z żalów wypowiadanych przez gadzinową prasę domyśleć się można, że jeśli nie całe niezadowolnienie dyplomacji niemieckiej, to przynajmniej część jego powstała w skutek przekonania się, iż petersburski dwór, rząd i wszystkie inne czynniki polityczne w Rosji gorąco pragnęły ustąpienia kanclerza z urzędu i odpowiednio do tego życzenia postępowały konsekwentnie od wstąpienia na tron cesarza Fryderyka aż do końca kanclerskiego przesilenia, wywołanego małżeńskim projektem Battenberga. Razem ze zgonem cesarza Wilhelma ustały w Rosji wszystkie względem Niemiec nieprzyjazne objawy, a natomiast odezwały się rozgłośne hymny na cześć Fryderyka, zdecydowanego przyjaciela pokoju i zwolennika tradycyjnej przyjaźni Prus z Rosją. Mnożyć się zaczęły objawy wyjątkowej serdeczności między petersburskim a berlińskim dworami. Rosyjscy wielcy książęta dłużej od innych książąt krwi zostali w stolicy Niemiec po pogrzebie Wilhelma i manifestowali się jako członkowie żałobnej rodziny; w Petersburgu wszelkimi sposobami okazywano gorące współczucie Fryderykowi; wnet potem podniesiono i poczęto ostentacyjnie rozgłaszać myśl zaniechania walki cłowej z Niemcami, głośno mówiono o tem, że czas już zawrzeć z Prusami traktat handlowy i w ogóle przywrócić owe dawne dobre stosunki, których głównym fundamentem była niezachwiana ufność; wreszcie kiedy ks. Bismark z małżeńskiego projektu Battenberga zrobił kwestję gabinetową, Rosja pokazała wielkie oczy i zarówno w poufnych dyplomatycznych zwierzeniach, jak w prasie mówiła, iż bardzo się dziwi, jak można z wykonania tego projektu snuć konsekwencje niebezpieczne dla sprawy pokoju. Potrąciwszy wtedy o najdrażliwszą strunę Fryderyka, Rosja niemal pewną była, że raz na zawsze zdobędzie go dla siebie, skłoni do zerwania z Austrją i Włochami przez samo zbliżenie się do niej, i wtedy ks. Bismark będzie musiał ustąpić, bo — jak on mówił wówczas — „szło mu nie o samo małżeństwo Battenberga, lecz o to, czy zdawna wytknięta niemiecka polityka ma nadal iść swoim trybem, czy też zejdzie na nowe tory".

Do tego sprowadzenia niemieckiej polityki na nowe tory, do stargania ligi pokojowej dążyła wtenczas Rosja, a ponieważ wiedziała, że z Bismarkiem, twórcą i gorliwym obrońcą ligi pokojowej, tego nie dokona, przeto popierała tych, którzy przemawiali za małżeńskim projektem Battenberga, dążąc w ten sposób do obalenia Bismarka. Dopiero gdy się dowiedziała od swego berlińskiego ambasadora, że w całym układzie małżeńskiego projektu zwyciężył Bismark, natenczas, zacierając coprędzej ślady poprzedniej taktyki, przemówiła w *Journal de St. Pétersbourg* przeciw małżeńskiemu projektowi. Dla szerokiej publiczności, która nie wiedziała dokładnie jak i w jakich odstępach czasu następowały po sobie momenta decydujące w tej sprawie i które z nich były współczesne, a które się wyprzedzały, mogło się wydawać, że *Journal de St. Pét.* poparł Bismarka, kiedy tymczasem on tylko zamarkował odwrót petersburskiej falangi po przegranej akcji przeciw Bismarkowi. Tem się tłómaczy fakt, że na parę dni przed owym artykułem w *Journal de St. Pét.*, inny rosyjski dyplomatyczny organ, *Nord*, dziwił się robieniu przez Bismarka takich wielkich rzeczy z marnego projektu małżeńskiego.

Była więc tedy intryga dyplomacji rosyjskiej, wycelowana w stanowisko Bismarka, a następnie w ligę pokojową i w cały układ mocarstwowych sił. Przejrzał to kanclerz, wytłómaczył cesarzowi, odsłonił przed nim straszne niebezpieczeństwa przesunięcia się Niemiec ku Rosji, a odsunięcia się ich od środkowej Europy — i zwyciężył.

Przegrawszy zakulisową kampanję, Rosja salwowała się artykułem w *Journal de St. Pétersburg*, ale równocześnie straciła wszelkie nadzieje na Fryderyka, poczęła nań patrzeć tak, jak na Wilhelma patrzała. Umilkły tedy hymny na cześć Fryderyka, ustały dyskusje nad koniecznością zawarcia z Niemcami handlowego traktatu, serdeczności znikły, spadła maska i pokazała się rzeczywista twarz petersburskiego rządu, panslawistyczna aż do najdrobniejszego rysu. Mianowanie jen. Bogdanowicza, to tylko jeden szczegół, sam przez się nic nieznaczący, lubo niemiły dla Niemiec. To jeno przykra, impertynencka drobnostka. Ale jest wiele innych podobnych drobnostek, nieznanych jeszcze szerokiej publiczności, a wskazujących wyraźnie, że nietylko rząd petersburski, ale nawet sam Aleksander III stanowczo poszedł w panslawistycznym kierunku i już nie krępuje burzącej działalności tak zwanej „nieoficjalnej Rosji." Że tak jest, na to dowodem niedawne wypadki w Rumunji, agitacje w Serbji tak zuchwałe, że aż Milan wyraźnie stwierdził ich istnienie, wreszcie ruch wyraźniejszy w Dobruczy i Macedonji, a obok tego wszystkiego — podżegania Grecji do zatargu z Turcją.

To wszystkie czyny nie mieszczą się w ramach lojalnych usiłowań ku odzyskaniu wpływu na Bułgarję; one sprzeciwiają się zapewnieniom petersburskiego gabinetu, że środkami traktatowymi będzie dążył do pozyskania napowrót księstwa; one wprost dążą do wywołania ogólnej burzy w całem ottomańskiem państwie. A ponieważ następstwem tej burzy musi być burza ogólno-europejska, przeto ona jest ostatecznym celem petersburskiego rządu. Taki zaś cel jest dostatecznym powodem do oziębłości w stosunkach rosyjsko-niemieckich.

Tak tę zagadkową sprawę półsłówkami tłómaczą niemieckie dzienniki, należące do chóru bismarkowskich pism. Ów akt prokuratorski jest ułożony nader zręcznie, w nim interesa niemieckie ściśle skojarzono ze środkowo-europejskiemi i pokojowemi. Jeśli rzeczywiście tak jest, jak ów akt głosi, to istotnie głęboką rysę tworzy nieporozumienie niemiecko-rosyjskie.

Niesłychane rzeczy dzieją się w pruskim sejmie! Przed paru dniami pisał nasz korespondent berliński, że w nim rząd upadł ze swym wnioskiem upaństwowienia szkół ludowych, przyczem rządowa większość rozbiła się przez wystąpienie z niej konserwatystów zasadniczych. Teraz powtórzyła się z małą odmianą druga taka scena. W jesieni mają być wybory do sejmu. Otóż liberał Rickert zażądał, aby rząd nie zmieniał tendencyjnie okręgów wyborczych, jak to czynił w poprzednich latach, przez co sztucznie zdobywał większość. Wielki mistrz w „robieniu wyborów", minister Puttkamer zaprotestował przeciw mięszaniu się sejmu do „administracyjnych zarządzeń" władzy i żądał, aby sejm przeszedł do porządku dziennego nad wnioskiem Rickerta. Stało się jednak inaczej. Tym razem od większości rządowej odpadli liberałowie i oni wspólnie z centrum, postępowcami i Polakami ogromną większością głosów uchwalili wniosek Rickerta. Coś się psuje w państwie bojaźni Bożej!... Ale tego mało. Dzienniki berlińskie wyszydzają teraz Puttkamera, jak kilka dni temu wyszydzały Gosslera i dziwią się, że ci panowie tak mało mają ambicji, iż upadając w sejmie w kwestjach tak drażliwych, zdradzających brak zaufania do nich, zostają przecież na stanowiskach ministrów.

Porta wyszukała nareszcie „neutralnego" jeneralnego gubernatora dla Krety. Nie jest to ani Turek, ani Grek, jest to jakiś Nikolaki Sartyński, co zacz taki, domyśleć się nie możemy, boć chyba nie Polak.

Korespondencje.

Wilno 28 kwietnia.

(*,*) Wyszedł właśnie ostatni rocznik „Statystycznych wiadomości" wydany przez kancelarję jeneralnego gubernatora Litwy. Ta urzędowa publikacja, obejmująca dane statystyczne za rok ubiegły, jest o wiele mniej dokładna od poprzednich. Zapewne z umysłu nie podzielono ludności ani podług wyznań, ani tem bardziej podług narodowości, jak gdyby tu mieszkał jeden prawosławny i rosyjski lud. Powiedziano tylko krótko, że sześć gubernij, stanowiących Północno-Zachodni kraj społem liczy 7,386.52? mieszkańców.

Cokolwiek obszerniej opracowany jest dział przemysłowy. Tu wyliczono, że na całej Litwie istniało w przeszłym roku 3100 fabryk i zakładów przemysłowych, która to ogólna liczba według gubernij tak się dzieli: w Kowieńskiej 776, w Grodzieńskiej 659, w Mińskiej 596, w Witebskiej 573, w Mohylewskiej 510 i wreszcie w Wileńskiej 168.

Ogólna wartość produkcji wszystkich tych fabryk i zakładów przemysłowych wynosi około 30.5 milj. rubli, a mianowicie na gubernję Grodzieńską, zwłaszcza na powiat Białostocki, przypada 8,470.493 rs., na Mińską 7,121.487 rs., na Wileńską 4,736.654 rs., na Kowieńską 4 349.344 rs., na Mohylewską 3,868 120 rs., wreszcie na Witebską 2,115.140 rs.

Liczba robotników, pracujących w tych fabrykach, wynosi ogółem 27.955, z czego blisko połowa bo 12.383 przypada na Grodzieńską.

Inne gubernje pod względem liczby pracujących w fabrykach robotników idą po sobie w porządku następującym: gubernja Kowieńska 3513, Mińska 3414, Mohylewska 3354, Wileńska 2882 i Witebska 2409.

Z ogólnej liczby robotników (27.950) fabrycznych w gubernjach litewskich, na dorosłych przypada 22 300, reszta na małoletnich.

Mężczyzn wśród klasy robotniczej liczy się 65.62 pct, kobiet 34 38 pct.

Właścielami fabryk są przeważnie żydzi, stanowią oni około $^2/_3$ fabrykantów w sześciu litewskich gubernjach, w Mińsku zaś z liczby 47 fabryk 8 zaledwie należy do chrześcian, reszta są żydowskie.

Dzień roboczy jest niezmiernie długi, dochodzi on niejednokrotnie do 17 godzin na dobę. Strona sanitarna fabryk, zwłaszcza żydowskich, jest wielce wadliwą. — Przeciętny zarobek tygodniowy wynosi dla mężczyzny 4 rs. 49 kop., dla kobiety 2 rs. 32 kop., dla małoletnich 1 rs. 33 kop. Od roku 1885 przeciętny zarobek tygodniowy dla dorosłych zmniejszył się o 4.5 pct.

W dziale gospodarczo-rolniczym „Statyst. Wiad." zwracają uwagę na zatrważający ubytek żywego inwentarza. Po kilku latach braku paszy inwentarz zmarnowany prawie za bezcen i posprzedawany z musu, znowu się podniósł był w cenie, szczególnie konie; cena średniego konia fornalskiego od 50 do 100 rs. dochodziła, wołu płaciło się od 30 do 50 rs., krowa kosztowała do 30 rs. W tym samym mniej więcej stosunku podrożało mięso i nabiał; ceny zaś zboża i paszy obniżały się coraz bardziej, tak że pud (pud = $18^2/_3$ kila. Przyp Red. *Przegl.*) żyta, jęczmienia, owsa, sięgał ledwie 45 kop.; innego ziarna, jak grochu, gryki, 50 kop. Siana i po 20 kop. za pud zbyć nie można było.

Mimo tak niskich cen kupców na zboże nie było i dziś nie ma wcale, a sprzedaż zboża jest rzeczą daleko trudniejszą niż kłopotliwe jego wyprodukowanie.

Naturalne i konieczne następstwa takiego stanu nie kazały na siebie długo czekać; zjawiły się one w formie bankructwa tak właścicieli jak i dzierżawców; ciągłe licytacje za długi i procesy o należność są na porządku dziennym, a środki przedsiębrane jużto w celu wydobycia należności z jednej strony, jużto uratowania choć części mienia z drugiej, fatalnie odbijają się na stanie rolnictwa.

Przykre też robią wrażenie te folwarki ogołocone z inwentarza i dobytku. Kto jednak na tem straci? Dzierżawcy potracili, gdyż na licytacji inwentarze poszły za bezcen; ale podobno tu i ówdzie w kontraktach zastrzegli sobie, iż dzierżawa przed upływem terminu w żadnym wypadku odebraną im być nie może. Owi więc zlicytowani dzierżawcy będą prawdopodobnie i nadal gospodarowali bez inwentarza i bez zboża do siewu. Zaległości będą rosły z roku na rok, tylko że już nie będzie czego wystawić na licytację, a po upływie terminu zrujnowane i opuszczone zupełnie folwarki nie znajdą amatorów za żadne pieniądze.

Wreszcie zjawiła się nowa, nieznana dotąd u nas bieda. Przyszła ona ze Wschodnich Prus, a po części z Kongresówki, przybyła wraz z rosnącą nędzą na furmankach żydków-spekulantów. Oto gorączka emigracyjna ogarnęła naszych kmieci. Za przykładem żydów wciąż jak fala odpływających do Ameryki, poczęli i chłopi nasi niemal gromadnie porzucać ojczyste zagony i wynosić się do owej cudownej krainy zamorskiej, gdzie rekruta nie biorą i podatków płacić nie każą i ani sprawników ani popów nie ma, a gdzie ziemia daje łatwe a olbrzymie dochody, jak głoszą agitatorowie, — ciemne figury, kręcące się wśród ludu i nakłaniające go do emigracji. Geszeft ten głównie prowadzą tylko tutejsi żydzi ale nie brak i ajentów hamburskich, także żydów, a ci tu na miejscu sprzedają bilety aż do Ameryki, tak zwane *Schiffkarten*. Różni faktorowie ułatwiają wyjazd, dostarczają nawet środków do podróży na zastaw gruntów lub ubogiej włościańskiej chudoby. Sama podróż kosztuje około 80 rs. Potworzyły się nawet w tym celu spółki żydowskie, rodzaj kas zaliczkowych, starannie unikających światła dziennego.

Emigrują przeważnie chłopi bezrolni i bezdomni, lecz i niemało gospodarzy na ten lep łapać się daje. Około Puń wychodźtwo przybrało szerokie rozmiary. To samo spotykamy i w wielu innych okolicach, jak w Trockiem tak też i w sąsiednich powiatach. Ruch emigracyjny zauważać się mianowicie daje pośród młodzieży włościańskiej, która z lekkomyślnością właściwą młodości rzuca tu pewny nieraz acz niewielki kawałek chleba, i głucha na przestrogi starszych, ucieka na drugą półkulę.

Magistrat wileński ogłosił swój budżet na rok bieżący. Ponieważ Wilno jest stolicą Litwy i ma pretensję do tytułu wielkiego miasta, przeto może zechcecie wiedzieć jego stan majątkowy. Podam tylko kilka cyfr, z których sami wyciągniecie wnioski.

Razem z ruchomą ludnością, miasto liczy prawie 100.000 ludności; posiada ziemi 1670 dziesięcin, które dają rocznego dochodu 9384 rs.; posiada nadto 29 własnych domów i gmachów, z których dochód wynosi 41 000 rs., i posiada wkońcu 234 000 rs. w papierach, przynoszących procentu 12.917 rs.

Cały dochód miasta ze wszystkich źródeł wynosi rocznie 352.991 rt. Z tego idzie: na policję 88.384 rs., na koszary dla wojska 75.735 rs., na utrzymanie zarządu miejskiego 42 579 rs., na straż ogniową 22.850 rs.. na sanitarne urządzenia 5112 rs., na szkoły 6103 rs., na dobroczynność 1440 rs.

Zatem rozkwaterowanie wojska kosztuje 22 pct. a policja 25 pct. całego dochodu — razem te dwie pozycje zjadają prawie połowę dochodu. Dobroczynność kosztuje mniej niż pół procentu, oświata 2 pct. i tyleż sanitarne urządzenia, a bruki, mosty, ogrody, wodociągi, oświetlenie razem kosztują 31.573 rs. czyli 9 pct. dochodu.

Sam ten budżet daje pewne pojęcie o systemie rządowym.

Wiedeń 3 maja.

(·/) Zagajone przez ministra Dunajewskiego pertraktacje z rządem węgierskim o zmianę niektórych postanowień przedłożenia gorzelnianego toczą się od dni kilku. Chodzi tu głównie austrjackiemu rządowi o zmianę § 3 co do rozdziału kontyngentu między Austrję i Węgry, dalej o zmianę § 7 o bonifikacjach dla gorzelni rolniczych i wreszcie o zmianę tych postanowień przedłożenia, które dotyczą pauszalowania gorzelni kociołkowych.

W ciągu tych pertraktacyj wyłoniła się zasadnicza różnica zdań między obu rządami a to na punkcie kosztów produkcji spirytysu. Gdy bowiem minister Dunajewski, opierając się na uchwałach podkomitetu gorzelnianego i na opinjach powoływanych ekspertów, stanowczo twierdził, że koszta produkcji spirytusu w gorzelniach rolniczych w Austrji a przeważnie w Galicji są wyższe niż koszta produkcji w gorzelniach fabrycznych w Węgrzech — zastępcy rządu węgierskiego twierdzili z równą stanowczością, że rzecz ma się wprost odwrotnie, że mianowicie galicyjskie gorzelnie rolnicze w obec nizkich cen produktów wyrabiają spirytus taniej od wielkich fabrycznych gorzelni na Węgrzech. Celem wyrównania tej różnicy zdań, postanowiono wysłuchać raz jeszcze opinji rzeczoznawców i wezwano ku temu ze strony austrjackiej posła do Rady państwa dr. Maurycego Rosenstocka, ze strony węgierskiej p. Wilhelma Leipzigera, wiceprezydenta węgierskiego stowarzyszenia właścicieli gorzelni.

W dniu 2 maja w biurach ministerstwa skarbu i w obecności fachowych referentów obu ministerjów rozpoczęto rozprawę między obudwoma ekspertami, lecz i tu wyszła na jaw, i mimo argumentów z strony przeciwnej, utrzymała się niezgodność opinji co do kosztów produkcji w Austrji i Węgrzech.

Gdy bowiem Rosenstock przedłożył obliczenia i daty, wedle których koszta produkcji w Austrji wynoszą przeciętnie o 7 zł. wyżej niż w Węgrzech, to przeciwnie udowadniał p. W. Leipziger również na podstawie obliczeń, że produkcja węgierska jest droższą o 5 zł. od austrjackiej.

Aby się bliżej rozpatrzyć w powodach tej różnicy zdań, zaczęto porównywać ceny materjałów używanych do produkcji spirytusu, a ekspert węgierski na tem właśnie opierał swoje obliczenia. Utrzymywał on, że jeśli się przyjmie — odpowiednio do uznanej już naukowo prawdy, że $3^1/_4$ metr. centnara kartofli wydają równą ilość spirytusu co centnar metryczny kukurudzy, to przy cenie centnara kartofli na 80 ct. i przy cenie centnara kukurudzy na 6 zł. 80 ct., wypadnie koszt produkcji w Galicji przy pędzeniu spirytusu z kartofli niższym o 4 zł. 20 ct. od kosztu produkcji spirytusu, pędzonego na Węgrzech z kukurudzy.

W odpowiedzi na to udowadniał rzeczoznawca austrjacki, że koszta ogólne, przy mniejszej dziennej produkcji spirytusu w gorzelniach rolniczych Galicji, rozkładając się przeto na mniejsze ilości, są stosunkowo dużo wyższe, niż w fabrycznych gorzelniach węgierskich, gdzie produkcja dzienna jest bardzo znaczną.

Mimo tego nie przyszło do porozumienia się między pp. rzeczoznawcami, a sprawa stoi dziś tak, że uznaniu fachowych referentów obu rządów pozostawiono ocenienie opinji przez pp. rzeczoznawców wypowiedzianych. Od orzeczenia ich zawisło; czy p. Tisza zgodzi się na zmiany w przedłożeniu rządowem żądane przez p. Dunajewskiego wedle uchwał podkomitetu gorzelnianego, lub będzie obstawał przy pierwotnie umówionym tekście przedłożenia. Dotąd nie ma o tem bliższych autentycznych wiadomości, lecz niechętne nam dzienniki wiedeńskie już głoszą, że p. Tisza pod wpływem opinji rzeczoznawców nie zgodzi się na proponowany przez podkomitet inny rozdział kontyngentu między Austrją i Węgry, jak równie na podwyższenie bonifikacji dla gorzelni rolniczych.

Co najwięcej — piszą te same dzienniki, a wtórują im peszteńskie — zgodziłby się minister węgierski na pewne zaostrzenia przepisów dla gorzelni kociołkowych.

Niebawem dowiemy się zapewne o wyniku

---

27)

RÓZIA.

POWIEŚĆ

przez

Zofję Kowerską.

(Ciąg dalszy).

Krzątała się koło stolika, podając Rażyńskiemu przyniesione jedzenie.

— Ale prawda!... pan pewnie obiadu nie jadłeś... jadasz pan późno?... Mnie Sobaska daje obiad o drugiej.

— Mając zamiar tu być, jadłem wcześniej. Nie byłbym śmiał przyjeżdżać tu na obiad.

— Dlaczego nie?...

— Innym razem pozwolę sobie korzystać z pozwolenia pani.

Rózia podniosła oczy. Innym razem? Czy chciał ją odwiedzić jeszcze?

— Jeżeli pani nic nie będzie miała przeciw temu, pragnąłbym zwiedzić ogród tutejszy... Podobno pani Zatocka miała wiele gustu i ślicznie tu stary park urządziła.

— O, bardzo ładnie. Mogę pana oprowadzić wszędzie.

Oczy jej zabłysły, radowała ją myśl przechadzki. Od tylu dni samotnie chodziła po alejach ze smutkiem w sercu. Władysław powstał, gotów był do wycieczki.

— Ale musimy wziąć co w drogę, — zawołała Rózia. — Zabiorę te owoce... zaraz przyniosę koszyk!

W koszyczku, wysłanym liśćmi, ułożyła morele.

Władysław chciał jej podać ramię.

— Pozwól pan, że pójdę sama. Nie lubię spaceru parami, zanadto mi to pensję przypomina... przyjemnie jest czasem wyjść z szeregu... proste drogi są nudne.

— Pani wolisz bezdroża?

— Lubię najdziksze ścieżki... gdy się już chodzi gracowanemi ulicami, chcę mieć przynajmniej możność wejścia czasem, choćby na trawnik tylko.

— Kiedy nie można na skałę?

— Odgadłeś pan. Góry — to życie!

— Pojedziemy do Szwajcarji, panno Różo!

— Zaręczam, że nie dogoniłbyś mię pan, wchodząc na góry... wdrapuję się jak kot.

— Dogoniłbym i złapał.

Szli obok siebie cienistą aleją. Władysław z upodobaniem patrzał na czarnooką dziewczynę, której twarzyczka z pod wielkich skrzydeł kapelusza wyglądała, jak jeden z owych kwiatów, których pod osłoną liści szukać trzeba. Rozchyla się ocieniająca zieloność, i kwiat dopiero wtedy po raz pierwszy spogląda w oczy słońcu. Rażyńskie mu przychodziła ochota zdjąć ten kapelusz z głowy Rózi, pozbyć się cienia, padającego na jej twarz, odsłonić czoło, ujrzeć oczy, oświecone całym blaskiem dnia. Na jej jasną suknię smugi światła padały, co chwila, przedzierając się przez gałęzie drzew, nieznośny kapelusz nawet przelotnego błysku nie dopuszczał na jej oblicze. Władysław począł nienawidzieć cały ród kapeluszy. Nienawiść ta miała sobie równą tylko w tej, jaką żywił dla woalek. To wszystko było doskonałe dla czterdziestoletnich wymalowanych kobiet!

— Ja wolę tutejszy ogród od ogrodu w Sędziszewie.

— I ja wolę.

W tej prostej odpowiedzi dźwięczało coś więcej, niż upodobanie dla ogrodu, i rzeczywiście Rażyński chciał zawołać, że wolał Trzebniki dlatego, iż można było odbywać przechadzki z Rózią, ale się wtrzymał; w jego spojrzeniu jednak zabłysło coś takiego, co ją zmięszało. Spuściła oczy, a skrzydła kapelusza były jedynemi świadkami jej rumieńca. Dodać musimy, że, nie mając nic wspólnego z rodem człowieczym, ściśle dochowały tajemnicy.

— Zenia ma bardzo wiele gustu, — mówiła Rózia, która czuła potrzebę utrzymania rozmowy, — ale tu natura więcej dała; na równinie trudno stworzyć coś oryginalnego.

— Niezawodnie.

— Ale ja żądam od pana potwierdzenia dla moich porównań, kiedy pan ogrodu tutejszego nie zna jeszcze... to dopiero jedna aleja.

Zaczęła mówić o swych projektach upiększenia jeszcze ogrodu... o zasadzeniu takiej masy róż sztamowych!...

Władysław milczał. Doznawał dziwnie słodkiego uczucia, idąc tunelem olbrzymich drzew obok ślicznej dziewczyny. Opanowywało go rozmarzenie, odczuwał wdzięk tego otoczenia, w którem wśród bogactwa zieloności, zapachu traw i kwiatów miał obok siebie najpiękniejszy klejnot natury, — młode dziewczę w pełni uroku lat dwudziestu. Więcej słuchał dźwięku jej głosu, niż tego, co mówiła; czasem pochylił głowę, by zajrzeć pod skrzydła nienawistnego kapelusza, to znowu spoglądał na rąbek jasnej sukni, z którego wysuwały się małe nóżki, stąpające prędko po alei, na którą słońce siało migocące gdzieniegdzie błyski, z brzegu sukni przenoszące się jednym skokiem na kapelusz, a następnej zaraz chwili uciekające śpiesznie, by zajaśnieć w innej stronie. Nie ma to, jak młodość! Czarem swoim zabija w jednej chwili wszystko, co wymyśla sztuka, usiłująca ją naśladować.

— Jak to dobrze, żem wzięła te morele, — ozwała się Rózia, — widzę, że i pan je lubisz.

Podała mu koszyk, w którym niewiele już owoców zostawało.

— „Gdyby tak zobaczyła nas Zenona" — pomyślał Władysław. Wystawiał sobie, jakim parsknęłaby śmiechem, jaką złośliwą uczyniłaby uwagę, patrząc na ten koszyk owoców, którémi dziewczyna częstuje młodzieńca, stojąc na murawie gazonu.

— „Istna sielanka!" — mówił sobie, z niejaką ironją sądząc własne uczucia, — „dawno już nie pływałem w eterach takiego rozmarzenia. To jest poezja czystej wody, albo się nie znam na tem."

Dość wcześnie pożegnał Rózię. Uspokojenie natury i jednostajność szmeru prostopadle spływającego, cienkiego deszczu, który zaczął padać, pomagały mu marzyć, wprawiały go w stan rozkosznej zadumy. Nie czynił żadnych projektów, swoich rojeń nie stawiał w świetle zdrowych rad rozsądku. Przed wzrokiem jego stała szczupła postać dziewczęca, przypominała mu się tak idealnie i bezcieleśnie, jak często oczom jego przedstawiały się widywane po galerjach arcydzieła pędzla. Wśród letniej parnej i ciemnej nocy usnął w nim człowiek, mający życie przebyte za sobą, a przed sobą życie do przebycia, czuwał tylko artysta. Nazajutrz na wspomnienie marzyciela, którego jego konie przywiozły były dnia poprzedniego z Trzebnik do Zagórza, Rażyński uśmiechnął się ironicznie.

— „Trzeba tu oględności i rozwagi" — myślał, moralizując samego siebie. — „Gdy chodzi o pannę w j e j położeniu, nie można iść na oślep, dokąd wiedzie chwilowe upodobanie. Każde słowo uczucia czy kokieterji, do niej zwrócone, musi zaraz mieć w odwodzie propozycję małżeństwa, a małżeństwo..." — Strach go dotąd przejmował na myśl o niem. Przyrzekł wprawdzie matce, że zacznie myśleć o ożenieniu się, stawiał nawet kandydaturę Rózi, ale to były słowa tylko. Teraz trzeba było uczynić krok stanowczy, albo się cofnąć oględnie, albo iść naprzód z wytkniętym celem. Zostawił sobie czas do namysłu, ale pragnienie zobaczenia znowu Rózi przemagało zimne rady rozsądku. Dla zabicia czasu pojechał do Sędziszewa i postawił krok fałszywy, nie powiedziawszy nic Zenonie o swej wizycie w Trzebnikach. Jej baczne oko dostrzegło wszakże, iż był nieswój, jakiś niespokojny i niecierpliwy.

— Powiedz mi pan, — ozwała się, — pan przywiozłeś z sobą z ostatniej podróży jakąś myśl czarną, wspomnienie niemiłe? Coś panu jest.

— Rodzina nudzi mię, żebym się ożenił... Dziś odebrałem list od matki, która na ulubiony temat napisała cztery stronice drobnem pismem. Ja się dziwię, że pani nie uległaś jeszcze nigdy pokusie powiedzenia mi kilku ogólników o tem, że szczęście jedynie w rodzinie osiągnąć można.

— Możebym była nie pokonała tej tentacji, gdyby nie przekonanie, że pan będziesz najgorszym mężem w świecie.

— Jakaś reminiscencja powieści o sinobrodym?

— O! nie, ja mówię poważnie. Pan nie możesz długo kochać jednej kobiety.

— Więc dobrze mówiłem... potrzebaby mi siedmiu żon?... Zawsze, chcąc mieć siedem, trzeba zacząć od jednej.

— Gdyby pierwsza przyszła mię zapytać o radę, powiedziałbym jej: „Nie idź za niego, bo zawsze będzie on wolał żonę bliźniego swego, niż swoję".

— Może masz pani słuszność. Żona bliźniego bywa i piękną i miłą, i pożegnać ją można każdej chwili, po co więc myśleć o własnej?.. Zdarza się też, że pomimo anielskiego uśmiechu, łabędziej szyi, lazurowych oczu — ta żona bliźniego ma tak twarde, tak nieugięte ramię, że strach przejmuje, by się podobnego we własnej nie znalazło. O, trzeba się dobrze przypatrzeć!

(C. d. n.)

tych konferencyj ministerjalnych i nie wątpimy, że słuszne żądania naszego rolnictwa, związanego organicznie z gorzelniami rolniczemi, nie wyjdą ze szkodą naszą, na korzyść akcyjnych fabryk spirytusu w Węgrzech, że w końcu przeważy wzgląd na ekonomiczny rozwój całej prowincji, nad partykularnemi interesami jednostek.

Londyn 1 maja.

(*W.*) Jedenaście bankietów z rzędu i niezliczoną ilość toastów! — oto, co przyzwoity gentelmen londyński musiał przeżyć w ostatnich dniach kwietnia. Zwaliła się ta góra patrjotycznych obowiązków prawie niespodziewanie, bośmy uprzedzeni byli tylko o dwóch bankietach i o tylu *speach*'ach, ile ich zwyczajnie bywa; reszta przybyła nie anonsując się, niemniej jednak przyjęta była jak się należy, co dowodzi, że apetyt Anglików i ich zdolność słuchania mów politycznych podczas obiadu granic nie ma.

Rozbiła się ta bankietowa szkuta 19 kwietnia, w rocznicę powstania damskiego Stowarzyszenia Pierwiosnkowego (*Primrose-League*). Wiecie zapewne, że pierwiosnki żółte były ulubionym kwiatem lorda Beaconsfielda. Na jego cześć torysi obrali ten kwiat symbolem swoim, założyli Ligę, a raczej dwie — męzką i żeńską — dla propagowania w kraju torysowskich zasad i poczęli odbywać walne zgromadzenia, czyli t. zw. *Habitation*, na których dużo się je, a jeszcze więcej mówi. Świetna to była myśl, powołać kobiety do Ligi, zrobić je agentkami konserwatywnych zasad. Jeżeli torysi są teraz w pełni życia, jeżeli tak mocno stoją u steru, pomimo że w parlamencie nie mają własnej większości i pomimo że fale radykalne i irlandzkie tak mocno uderzają w stary kadłub angielskiego okrętu, to przypisać należy ów fakt dziwny niestrudzonej propagandzie żeńskich członków Ligi. Czego kobieta chce, tego chce Bóg. Godziwą tedy było rzeczą upić się na cześć kobiet i tośmy sumiennie zrobili dnia 19 kwietnia.

Na drugi dzień była druga uroczystość, niesłychanie rzadka. Londyńska City ofiarowała dyplom honorowego obywatelstwa margrabiemu Hartingtonowi, dziedzicowi wielkiego imienia i olbrzymiej fortuny książąt Devonshire, wodzowi unionistów, których on oderwał od Gladstone'a i pod swoją buławą trzyma w obozie rządowym. Wielce to poważany człowiek w całej Anglji; więc bankiet dany na jego cześć przez miasto w Guildhalli był najświetniejszem zgromadzeniem, jaki mi się widzieć w życiu zdarzyło. No, że mów było dużo, a więc i pito dużo, to się samo przez się rozumie.

Wszystkich innych bankietów wyliczać nie mam potrzeby, wspomnę więc tylko o tych, któremi uczczono wypadki polityczne wielkiego znaczenia nietylko dla Anglji, ale — kiedyś, w przyszłości — może dla całego świata.

Między tymi wypadkami pierwsze miejsce zajmuje częściowe wykonanie olbrzymiego planu brytańskiej federacji. Dziwi mnie bardzo, że ten fakt doniosły, który w przyszłości z pewnością radykalnie zmieni wszechświatowe stosunki, tak mało zwraca na się uwagi kontynentalnych publicystów; że się o nim nie rozpisują Anglicy, to rozumiem dobrze: oni i Rosjanie zawsze w cichości przygotowują wielkie wypadki. Ale czemu Europa nie patrzy na to, jak się wznosi gmach największego w przyszłości mocarstwa na lądzie i na morzu, gmach mocarstwa, które będzie liczyło około 300 miljonów obywateli, stojących pod jednym naczelnym rządem?

Anglicy bez rozgłosu wznoszą tę budowlę. Chcą pierwej ugrupować się silnie, utworzyć potężną federacyjną marynarkę i wspólną armję, a potem dopiero staną przed zdumionym światem nietylko jako najrozleglejsze, ale także jako najsilniejsze mocarstwo obu półkuli. Na walnem zgromadzeniu „Imperial Federation League", odbytem niedawno, lord Roseberry właśnie skreślił program tej „Cesarskiej federacyjnej Ligi", — program, który powinienby dać dużo do myślenia europejskim politykom.

Takie złączenie się wszystkich angielskich kolonij, dziś samoistnych, mających własne rządy, parlamenta, budżety, własne wojska i marynarkę, a złączonych z metropolją tylko wspólnością języka, jednością rasy i unją celną, — takie, powiadam, złączenie się tych kolonij w jedno mocarstwo, w cesarstwo federacyjne na wzór federacji północno-amerykańskiej, jest ideą tak olbrzymią, że może się mrzonką wydać, a przecież bynajmniej nią nie jest. Pierwsze podwaliny pod ten gmach społeczno-polityczny już rzucono, a taka jego olbrzymia atrakcyjna siła, że do budowli przyłączają się nawet ci, którzy niedawno orężnie odpierali protektorat angielski. Oto kolonje brytańskie w południowej Afryce, gdzie niedawno toczyły się krwawe wojny Anglików z Boersami i Zulusami, zjednoczyły się już w jeden polityczny organizm we wszystkich kwestjach ekonomicznych. Odbyła się w Kapie konferencja przedstawicieli wszystkich niezawisłych kolonij i ziem pod prezydencją gubernatora Kaplandu, p. J. Gordona Sprigga; wzięli więc w niej udział pełnomocnicy: Kapu, Natalu, Oranżu, Transwaalu, ziemi Betszuańskiej, Zulusów, Bassulów i Paudów. Cały ten południowy kraniec Afryki zjednoczył się pod względem taryfowym, komunikacyjnym, telegraficznych i ustawowo-sądowniczym. Przy energicznej budowie dróg żelaznych, którą tam przedsięwzięto, przy bogatych kopalniach złota i djamentów, które ściągają tłumy emigrantów, przy klimacie odpowiednim dla Europejczyków, kolonje te mają przed sobą olbrzymią przyszłość. Nie ma też męża stanu, któryby w tej federacji kolonjalnej południowej Afryki nie widział nowego szczebla potęgi Wielkiej Brytanji. Idea rzucona przez lorda Carnarvona za ministerjum Beaconsfielda przynosi już owoce niespodziewanie szybkie wskutek energji, jaką rasa anglo-saska rozwija, gdy idzie o ustalenie zdobyczy kolonjalnych i o wyciągnięcie z nich praktycznego rezultatu.

Drugim ważnym wypadkiem są usiłowania ku urzeczywistnieniu myśli, aby wszystkie sporne kwestje, jakie w przyszłości mogą powstawać między Anglją a Stanami Zjednoczonemi północnej Ameryki, były rozstrzygane przez sąd rozjemczy, nie zaś orężnie. Kongres amerykański rozszerzył tę myśl, bo wyznaczając szczodry etat dla międzynarodowej komisji, mającej ułożyć konwencją odpowiednią, orzekł, że do owej spółki, która swe zatargi będzie załatwiała sądem rozjemczym, należy zaprosić także Francją. Ambasador republiki oświadczył rządowi Stanów, że Francja z radością przystępuje do projektu. Ten pomysł amerykański przyjęli Anglicy z zapałem, którego nawet nie stłumiła okoliczność, że będą musieli bodaj w niektórych kwestjach iść zgodnie z odwieczną a lekceważoną rywalką, Francją.

Wreszcie trzecim ważnym wypadkiem jest zwrot w opinji torysów na sprawę irlandzką. Niech to nikogo nie łudzi, że wniosek Irlandczyka Carrewa o nadanie Zielonej Wyspie takiej samej administracji hrabstw, jaką już w dwóch czytaniach przyjęto dla Anglji i Szkocji, odrzucono 282 głosami przeciw 195. Znaczenie wniosku leży w rozprawie, którą on wywołał. Przedewszystkiem zauważmy, że w tym wniosku Irlandczycy nic nie wspomnieli o odrębnym parlamencie i ograniczają się tylko do żądania samorządu lokalnego. Jestto objaw powrotu na rozsądne drogi.

Jeszcze jednak ważniejsze jest to, co podczas tych rozpraw mówili przedstawiciele rządowego, dotąd antiirlandzkiego stronnictwa, pp. Chamberlain i lord R. Churchill.

Pierwszy z nich jest, jak wiadomo, dawnym przywódzcą radykalistów. Spostrzegłszy jednak ich nicość i poróżniwszy się w zapatrywaniach politycznych z Gladstonem, nabrawszy doświadczenia politycznego, powoli stawał się coraz bardziej umiarkowanym i wreszcie przeszedł do obozu unjonistów, popierających rząd. Dziś jest jednym z grubych filarów tego stronnictwa. Owóż podczas rozpraw nad wnioskiem Carrewa, oświadczył on, że nie można odkładać ustawicznie *ad calendas graecas* najniezbędniejszych reform dla Irlandji i ponieważ w tej sesji nie ma już czasu zająć się Irlandczykami, więc następną trzeba im przeważnie poświęcić i nietylko dać im samorząd administracyjny w szerokich zakresach, ale oprócz tego rozwiązać kwestję gruntową przez wykup czynszowników i logicznie przeprowadzone uwłaszczenie.

Lecz głównym wypadkiem dnia była energiczna mowa lorda Randolfa Churchila. Wyrzucił on w energiczny sposób ministrowi dla Irlandji Balfourowi jego tendencje despotyczne i jego zachcianki rządzenia samowolnego w Irlandji, w imieniu jakiejś niby wyższości rasy i cywilizacji. „Jeżeli — mówił — rząd nie skorzysta z pierwszej sposobności, ażeby dać Irlandczykom takie same prawa i przywileje, jakie daje pozostałym częściom państwa, to dni jego będą policzone i unjoniści porzucą go natychmiast." Gdy się po myśli, jaką jest pozycja lorda Randolfa, jego przeszłość i widoki, to nie można się dziwić, że taka mowa wywarła wrażenie głębokie. Mówiono wczoraj w klubach, że p. Balfour ma zamiar natychmiast podać się do dymisji i że jedynie nie czyni tego z obawy, ażeby go nie posądzono o tchórzostwo, gdyż Fenianie skazali go na śmierć. Nie sądzę, ażeby się odsunął teraz, gdy sprawa irlandzka stoi na drugim planie. Ale przy rozpoczęciu nowej sesji samo się z siebie rozumie, że lord Salisbury da mu innego następcę i nie dziwiłoby mnie bynajmniej, gdyby to trudne stanowisko dostało się jednemu z dwóch wczorajszych mówców.

Z Rady państwa.

Wiedeń 2 maja.

224 posiedzenie Izby posłów otwiera o godz. 10 przewodniczący dr. S m o l k a.

Obecni ministrowie Taaffe, Ziemiałkowski, Falkenheyn, Prażak, Gautsch i Bacquehem.

Po uznaniu ważności wyboru posła hr. Deyma, rozpoczęto dalszą rozprawę nad budżetem ministerstwa oświaty, tut. 1 „centralny zarząd".

Dr. M a t h o n użala się na przeciążenie nauką uczniów w szkołach średnich i na rozdział przedmiotów między wielu nauczycieli, co utrudnia postępy. Najwięcej przyczynia się jednak do tego język wykładowy, który nie jest językiem macierzystym dzieci. Dla tego nie poprzestaniemy żądać szkół z językiem wykładowym słoweńskim, bo znając wagę i liczbę żywiołu słowiańskiego w Austrji, mamy prawo żądać tego wbrew wszelkim programom rządowym.

P. B e r t o l i n i odpiera na wstępie zarzut p. Angerera, jakoby Włosi za powolność dla obecnego rządu odbierali od niego pewne koncesje. Oświadcza, że pod żadnym dotąd rządem nie doznał język włoski takiego upośledzenia, jak pod obecnym. Krytykuje otworzenie szkół niemieckich w Tryencie i Roveredo. Szkoły te nie nauczą młodzieży mowy niemieckiej, a pozwolą na zepsucie mowy włoskiej. Więc nie z narodowych ale z dydaktycznych powodów mówca będzie im przeciwny, jak jest przeciwny w ogóle obecnemu systemowi szkolnemu.

P. M a n d y c z e w s k i stawia wniosek na podniesienie dotacji gr. k. biskupstwa w Stanisławowie do wysokości 12000 zł. i uregulowanie płac kanoników kapitulnych wszystkich trzech gr. k. dyecezyj w Galicji. Dalej żąda umieszczenia kapituły w Stanisławowie w odpowiednim lokalu i aby słuchacze czwartego roku teologji z dyecezji stanisławowskiej, dotąd pobierający nauki w seminarjum lwowskim, byli na przyszłość przeniesieni do Stanisławowa. Wreszcie żąda, aby odpowiadając koniecznym potrzebom ludności ruskiej w Galicji i Bukowinie otworzono gimnazja z językiem wykładowym ruskim w Przemyślu i w Kocmaniu. Rezolucje te, dostatecznie poparte, odesłano do komisji budżetowej.

Z liczby mówców zapisanych do głosu za i przeciw budżetowi ministerstwa oświaty wybrano jako mówców jeneralnych p. A d a m k a (za) i p. Weitlofa (przeciw), a to na wniosek zamknięcia rozpraw, postawiony przez p. F ü r n k r a n z a który motywuje go nadużywaniem wolności przemawiania w sprawie dostatecznie już wyjaśnionej i zabieraniem Izbie czasu, potrzebnego do załatwienia ważniejszych spraw.

Pos. A d a m e k zaznacza z góry, iż parę razy zapisywał się do głosu, ażeby mówić przeciw polityce ministra oświaty. Naród czeski jest przekonany, że punkt ciężkości walki o egzystencję narodową spoczywa w szkole. Szkolnictwo czeskie nie cieszyło się nigdy szczególniejszymi względami ministrów austrjackich, atoli p. Gautsch przeszedł w tym kierunku wszystkich swoich poprzedników; miał on odwagę pokrzywdzić nawet gwarantowane Czechom równouprawnienie. Mówca rozszerza się następnie nad rozporządzeniami ministra co do szkół średnich i wykazuje, że gdy w całej monarchji jedna szkoła średnia przypada na 50.000 Niemców, to dopiero 110.000 Czechów mają jednę szkołę srednią, więc Czesi są w dwa razy gorszej sytuacji. Wszelkie zarządzenia ministra wywołały w narodzie czeskim mniemanie, iż swego czasu niektóre szkoły zostały dlatego upaństwowione, ażeby je później tem łatwiej skonfiskować można. (Tak jest! na ławach czeskich) Najlepszą ilustracją dobrych chęci ministra dla Czechów jest fakt, że ludność ta, licząca w Czechach 42%, nie posiada ani jednego państwowego gimnazjum, podczas gdy Niemcy mają ich dziewięć i trzy praeparandy. Czeskiego gimnazjum w Opawie p. minister nie chce przyjąć w zarząd państwowy dlatego, ponieważ lęka się terroryzmu narodowego na Szląsku. Dalej wykazuje mówca, że Czesi i na polu szkolnictwa przemysłowego są upośledzeni, i zaniedbani przez państwowy zarząd oświaty, a skutek tego jest taki, iż w walce konkurencyjnej w przemyśle Niemcy Czechów wszędzie pobijać i wypierać muszą. Minister oświaty jest *par excellence* centralistą, podjął on sztandar starych centralistów z niepomierną odwagą i dąży do germanizacji w pierwszej linji Czechów i Słowieńców, a gdy się z nimi ułatwi, zacznie uszczęśliwiać swemi reformami inne ludy w Austrji mieszkające. Wynika stąd, że p. minister nie bez korzyści studjował historję Jezuitów. (Wesołość na prawicy).

Czynami swemi poruszył p. minister wszystkie warstwy ludu czeskiego; piętrzących się fal powszechnej nieufności nie ułożą ani frazes, ani dwuznaczne obietnice, ale chyba tylko powrót do systemu wychowania w myśl mowy tronowej z r. 1879. (Tak jest! z prawicy). System Gautscha nie oznacza pokoju, lecz niszczącą politykę zatargów, ale też tylko w Austrji jest możliwa, że w gabinecie, opartym na programie mowy tronowej z r. 1879, znajduje się taki dr. Gautsch. Jeśli p. minister rachubę swoich planów oparł na naszych domowych rozterkach, to niniejsza debata przekonać go mogła, iż się bardzo omylił. Szkoła jest naszą opoką i twierdzą, a Bóg da, że mimo bezpośredniej i pośredniej pomocy ministra oświaty wrogom naszym nie uda się wziąć tego wału naszej narodowej egzystencji czy to siłą czy podstępem, i nie zdołają zatknąć na nim czarno-czerwono-żółtego sztandaru. W tej walce o równe prawa, o swobody rozwój cywilizacyjny, liczymy na pomoc wszystkich szczerych przyjaciół tej monarchji, u których czas walk narodowościowych jeszcze nie przeminął, i którzy nie chcą popiołami w gruz rozpadłej Austrji użyźniać gruntu państwa Niemieckiego. (Brawa z prawicy).

Poseł W e i t l o f, mówca jeneralny przeciw tytułowi budżetu, konstatuje przedewszystkiem, że wszyscy mówcy „pro" starali się obalić ministra oświaty. W obec tego zadaniem lewicy nie może być występować przeciwko tym mówcom. Lewica poczytuje sobie jednak za patrjotyczny swój obowiązek walczyć przeciw każdemu ministrowi z ministerjum Taaffego. W ostatnich zaś czasach p. minister oświaty odznaczył się jako szczególnie godny członek tego gabinetu.

Mówca polemizuje następnie szczegółowo z wczorajszą mową ministra. Zdanie jego: „państwu oddajcie co państwa, krajom co krajów", przypomina mocno inne zdanie klerykałów: „oddajcie cesarzowi co cesarskiego, a Bogu co boskiego jest". Z tem wszystkiem jednak cesarz i państwo jakoś źle na tem wychodzą (wesołość). Gdyby minister wcześniej był przyznał niektóre koncesje, w wczorajszej dopiero mowie zrobione, byłby oszczędził sobie wiele ataków, nam wiele czasu i w ogóle zapobiegł widowisku, które nie jest dla parlamentu naszego zaszczytnem bynajmniej. My z lewicy nie możemy żądać ograniczenia swobody głosu, ale to nie my, lecz p. minister i w ogóle prawica swojemi machinacjami odwlekają załatwianie spraw w nieskończoność. My musimy w rzeczach większej wagi wygadać się. Z pewnością wolelibyśmy zamiast tu gadać, powiedzieć sobie: Panowie! tak pięknie na dworze, chodźmy na parę godzin na spacer.

W dalszym ciągu mówca zwraca się przeciw obozowi klerykalnemu a w obronie szkoły nowoczesnej liberalnej, szczególnie zaś uderza na katechetów i rozszerza się nad potępienia godnymi wyjątkami w tej klasie nauczycieli. Mówca opowiada, że w miejscowości Horn, gdzie istnieje 3-klasowa szkoła wydziałowa, nauki religji udziela proboszcz miejscowy, który dziewczętom opowiada, iż król Henryk IV miał wiele żon, zwanych metresami Dzieci pytają się, co to znaczy, i odbierają odpowiedź w formie bardzo pospolitego wyrażenia z uwagą: Przecież wiecie co to znaczy! (Wesołość na lewicy i głosy: Słuchajcie!)

Nadto zakazują w tej szkole uczęszczania na tańce publiczne. Tymczasem chłopcy idą na tańce, biorą ze sobą dziewczynę, która po niejakim czasie zachodzi w słabość, a nikt nie wie skąd. (Głosy: Słuchajcie! słuchajcie!) Pisma klerykalne zamilczają podobne fakta. W Horn wychodzi pismo antisemickie. (Poseł Fiegl: W jakim odcieniu?) To trudno; nie umiem powiedzieć czy to jest antisemityzm Fiegla, Türka czy Schönerera. (Ogromna wesołość.) Owóż to pismo ani słówkiem nie wspominało o faktach podobnych, jakkolwiek w całem mieście były one aż nadto głośne.

Wreszcie zamyka p. Weitloff swoję mowę, pełną skandalów, oświadczeniem, iż będzie głosował przeciw ministrowi.

Po całym szeregu faktycznych sprostowań, które czynili pp. Türk, Siegmund, Lażansky, Burgstaller, Krzepek i Herold, ostatni głos miał sprawozdawca dr. Euzebjusz C z e r k a w s k i. Mówca czyni między innymi uwagę: Skoro jakiś pełny sił żywotnych naród podnosi się po latach długiego zaniedbania do nowego życia, naówczas uważa on każdą przeszkodę na tej drodze jako krzywdę i bezprawie. Nie należy jednak zapominać, że przeszkód tych nikt własnowolnie ani lekkomyślnie nie stawia, że wywołują je stosunki i okoliczności, i często najlepszymi chęciami ożywieni mężowie stanu zdmuchnąć odrazu ich z widnokręgu nie mogą. Dopóki możemy żywić otuchę w dobre chęci rządu, dopóty nie ma potrzeby chwytania się, tak krańcowego środka jak odmówienia budżetu".

Izba przystępuje do głosowania, odrzuca wniosek Engla o głosowanie imienne i w zwyłem głosowaniu uchwala pozycję: „Zarząd centralny ministerstwa oświaty" 189 głosami przeciw 53

Następne posiedzenie jutro, w czwartek.

Mały Fejleton.

Moskale w Węgrzech w roku 1849.

(Z niemieckiego.)

Bez amunicji, zmożeni dziesięćkroć większemi siłami wroga, dziesiątkowani strzałami nieprzyjacielskiej artylerji, rozbici w maleńkie zaledwie oddziały, cofały się niedobitki wojsk węgierskich w nieładzie i popłochu w kierunku St. Martos i Miska-Peres.

Byłoto dnia 2 sierpnia 1849, w dniu okropnej klęski dla narodowej sprawy węgierskiej. Nagy Sandor na czele zrozpaczonych niedobitków niedługo zdołał się opierać wojskom Paszkiewicza. Rosjanie niespodzianie zboczyli z wytkniętej przez się marszruty i ruszyli na Debreczyn. Gdy pierwszy strzał armatni zagrzmiał, Nagy Sandor wraz z oficerami spożywał właśnie obiad; natychmiast od stołu pospieszyli na krwawe pole walki, a bardzo wielu nigdy już do domów rodzinnych nie wróciło. Zginęli śmiercią bohaterską.

Ze stoków Köntösu, pokrytych żyznemi winnicami, przypatrywali się mieszkańcy Debreczyna klęsce oręża węgierskiego. Dzielni synowie Alföldu spieszyli wszyscy dobrowolnie, na ochotnika, w szeregi walczących honwedów; każdy zbroił się jak mógł, szablę i karabin zastępowały doskonałe kosy, młoty, piki, cepy i widły. Każdy kto miał zdrowe ręce i nogi, ruszał na pole walki; w domu zostawali tylko starcy, kobiety i dzieci. Podobnie jak pod Aquae Sextiae krzykom Teutonów towarzyszył krzyk zachęty niewiast do krwawej walki z Rzymianami, tak samo do uszu walczących Węgrów dochodził bolesny jęk z piersi mieszkańców Debreczyna.

Byłto dzień grozy. Przez ulice Debreczyna mknęli szybko kozacy i czerkiesi, koło zboru luterańskiego zatoczyli działa, a wysoko wzbite w powietrzu kłęby pyłu i kurzu wskazywały kierunek, w którym się cofało wojsko węgierskie.

„Wasi nieprzyjaciele pobici, wasi przyjaciele są już między wami" rzekł jenerał Rüdiger do debreczyńskiej deputacji. Okropnie gospodarowali ci „przyjaciele". W chwili gdy Rüdiger wymawiał te słowa, za murami miasta rozstrzeliwano trzydziestu Kozaków za zbrodnie popełnione w chwili zdobycia miasta. Wszyscy zginęli na wyraźny rozkaz jenerała Rüdigera. Winą ich była niekarność i rabunek. Korzystając z ogólnego zamięszania, wpadli w boczne uliczki miasta i gospodarowali po swojemu, tj. zabierając wszystko co się dało a paląc czego wziąć nie mogli, i mordując tych, którzy im się opierać odważyli. Najstraszliwszymi rabusiami byli kozacy, umieli oni wszystko wyszperać i wszystko chowali do olbrzymich sakw, umieszczonych po obu stronach siodła. Chłop węgierski niczego tak się nie obawiał jak wizyty kozaków; bronił się też zapamiętale w swej ojczystej zagrodzie, nie chcąc wpuścić tych rabusiów nawet na dziedziniec. Nieraz staczano krwawe walki i krew kozacka płynęła obficie. Bo też łupiezcy ci nie byli wcale waleczni, i jeżeli tylko nie dowodził nimi oficer regularnej armji, to umykali przed cepem i widłami mieszkańców puszt nadcisańskich. A znowu chłopi nie mieli litości dla Kozaków; gdzie mogli, tam ich mordowali, a biada było tym, którzy wdarłszy się do zasobnej piwnicy, idąc za popędem pijackim, raczyli się do zbytku dobremi winami. Nazajutrz znachodzono tylko zimne trupy zeszpecone, leżące między beczkami i antałkami napełnionemi pysznym napojem z gór Hegyala i Tokaju.

Byłoby jednak niesprawiedliwem twierdzić, że cała armja począwszy od dowódzców przejęta była takim łupieżczym i niekarnym duchem. Winę wszystkich ekscesów przypisać należy tylko prostym żołnierzom, a w nielicznych tylko wypadkach także i oficerom. Rosyjscy jenerałowie karali bardzo ostro wszelkie przestępstwa a tą surową sprawiedliwością odznaczał się przedewszystkiem jenerał Rüdiger, którego imię dzisiaj jeszcze z uznaniem wspominają starzy mieszkańcy okolic Miskolca, Koszyc i Preszowa. Był on jenerałem kawalerji i carskim jeneraładjutantem, a każdy postępek jego nacechowany był iście szlachetną godnością. Rosły, barczysty, silny, zahartowany na trudy i znoje, łagodnego charakteru, a mimo to surowy i wymagający od podwładnych pełnienia przynależnych obowiązków, mógł być wzorem dla każdego dowódzcy. Rosjanina trudno było w nim poznać, bo nawet po rosyjsku dobrze nie umiał. Ogolona twarz, sympatyczne wejrzenie i uśmiech, bujny włos przyprószony gęsto siwizną, przypominał raczej dobrodusznego pastora aniżeli surowego jenerała, a przecież w razie potrzeby oko błyskało groźnym blaskiem, a wyraz twarzy okazywał niczem niezłamaną żelazną wolę i charakter.

Rüdiger był wyznania luterskiego i pochodził z starożytnej rodziny kurlandzkiej. W niedzielę i święta jeżeli tylko nadarzyła się sposobność, udawał się zawsze do zboru, a towarzyszyło mu zwykle grono oficerów z rodów szlacheckich, zamieszkałych w nadbałtyckich prowincjach pod berłem rosyjskiem. W całem swem życiu trzymał się Rüdiger zasady przez Kromwela często głoszonej: „Mój synu ufaj Bogu, a proch miej zawsze suchy."

Rosyjscy oficerowie rodem z nadbałtyckich prowincyj nie żyli wcale w zażyłych stosunkach z oficerami Rosjanami, stosunki ich ograniczały się *stricte* w ramach służby. W miejscach publicznych oficer z Nadbałtyku uważałby dla siebie za ubliżenie zająć miejsce obok oficera Rosjanina, a w jadalni hotelu Rednera w Koszycach były stoły według narodowości podzielone. Rozwaga i eleganckie salonowe maniery oficerów Niemców nie przypadały wcale do gustu oficerom Rosjanom. Zawiść ta miała jeszcze inne źródło, oto wszystkie najwybitniejsze stanowiska w armji rosyjskiej zajmowali Niemcy. S a m i N i e m c y zwykł był mawiać car Aleksander II, ilekroć mu odczytywano *ordre de bataille*.

Oficerowie Niemcy pozostawili po sobie w Węgrzech nader miłe wspomnienia. Ilekroć gdzie stanęli kwaterą w porządniejszym domu, zaraz zapytywali o książki niemieckie, a przedewszystkiem o Szyllera. Mówili dobrze po niemiecku, *notabene* z cudzoziemskim akcentem i zazwyczaj zamiast *u* mówili *o*. — „Jestem Korlandczykiem" zwykł był mawiać generał Rüdiger — a zamiast „nie" mówił „pfui," co niejednokrotnie było powodem komicznych omyłek. Po Lüdersie, który walczył z powstańcami w Siedmiogrodzie, był Rüdiger bezwarunkowo najdzielniejszym generałem armji rosyjskiej w Węgrzech.

Moskalom podobało się nader życie w Węgrzech. Północne komitaty, zamieszkałe przez ubogą ludność słowiańską, która często gęsto nawet kartofli nie miała do garnka włożyć, przypominały im żywo Rosję, ale za to niemało ich pociągały ku sobie żyzne wzgórza Hegyalu i bogate doliny Cisy. Madiar z Alföldu, z poczuciem własnej godności i siły, łączący w sobie praktyczny zmysł Niemca z bystrością Słowianina wywierał nieopisany urok na oficerach rosyjskich.

Wszędzie widoczna zamożność, dobrze zabudowane obejścia, obfitość białego chleba, słoniny, mięsa, wina, czystość i ochędożność mieszkania i odzieży, stały w tak rażącej sprzeczności z brudotą i niechlujstwem chłopa rosyjskiego, że mimowoli każdy, bodaj trochę estetycznie wykształcony umysł, pociągały ku sobie.

Niesłychany podziw obudzała w oficerach rosyjskich owa olbrzymia miłość ojczyzny i przywiązanie do swobody, które porwały na pole walki szlachtę i magnatów z zamków, rzemieślników z warsztatów, urzędników z biór, kapłanów z kazalnic i młodzież z ław szkolnych. Ówczesny prąd ogarnął wszystkie warstwy społeczeństwa węgierskiego, z kraju i z zagranicy zaciągali się potomkowie Arpada pod sztandary ojczyste, a nawet klerycy porzucali mury zakonne i śpieszyli na pole walki.

Niejeden z Rosjan przyszedłszy do Węgier osiedlił się w nich na zawsze i jego potomkowie stawali się już prawdziwymi Madiarami, nadawali nawet swemu rodowemu nazwisku brzmienie węgierskie. Pewien kozak, nazwiskiem Karabinow, osiadł w wiosce Podhering pod Munkaczem i prędko potrafił sobie zyskać zaufanie swych współobywateli, którzy go w kilka lat później wybrali naczelnikiem gminy. Syn jego zmienił swe nazwisko na Karabelyos i dzisiaj jest już królewskim sędzią. W okolicach Feherto osiadł znów inny Rosjanin, niejaki Wasiljew, który pojął za żonę niemłodą już właścicielkę małej winnicy. Z zawodu był on mydlarzem i początkowo wyroby swe woził na targi do Feherto, Pocs, Nanas, lecz niebawem zarzucił zupełnie swe rzemiosło i oddał się... pijaństwu. Ilekroć nadszedł jakiś dzień uroczysty lub inna ważniejsza okazja, Wasiljew upijał się regularnie, a wino zebrane z winnic jego żony pochłaniało jego wiecznie suche gardło.

Węgrzy podziwiali przedewszystkiem szalony apetyt Moskali. Żołądek ich znosił wszystko i stał się w niektórych okolicach przysłowiowym: „je, jak Moskal". Zjadali bo też wszystko obrońcy matiuszki Rosji: surowe ogórki, niedojrzałe melony, młode kawony, zielone włoskie orzechy, kaczany kukurudzy — potem zapijali to wszystko wodą z kałuży. Nic więc dziwnego, że przy takim sposobie żywienia się, w klimacie gorącym, bo zważyć należy że słońce prawdziwie tropikalne doskwiera w lipcu i sierpniu na pusztach węgierskich — mnożyły się w armji rosyjskiej choroby zabójcze. Padali też gęsto żołnierze wśród uciążliwych marszów, umierali w straszliwych mękach nie mogąc kroplą czystej wody zwilżyć ust spalonych, a ich przedśmiertne jęki i charczenia ginęły w wrzawie pieśni wojennych, które Rosjanie zwykli śpiewać w czasie pochodów. Jak w wojsku Sanheriba, tak przez szeregi moskiewskie przeciągał straszliwy anioł śmierci i wiecznego milczenia. Cholera porywała tysiące z ich szyków; w samym Miskolczu w jednym tygodniu zginęło 4.000 żołnierzy! Środki ratunkowe okazały się bezskutecznemi, szpitale miejskie za szczupłe. Na łóżkach szpitalnych, gęsto ku sobie ściśnionych, leżały setki chorych, a następnego dnia zbierano trupy, chowano je w wspólnych grobach, a na opróżnione łoża, bez zmienienia wyziewami zabójczemi przesiąkłej bielizny, kładziono nowe setki epidemją dotkniętych. Pogrzeby były nader proste. Przed wozem z umarłymi jechała garstka kozaków, za wozem postępował pop prawosławny, mrucząc pod nosem modlitwy za zmarłych, a od czasu do czasu zadźwięczały ciche dzwony. Za popem kroczyło kilku rosyjskich żołnierzy, którzy kornie wybijali pokłony i trzykroć się żegnali. Mieszkańcy przerażeni spoglądali na to z trwogą z poza okien i z za węgłów domu — obraz godzien pędzla Wereszczagina.

Lekarze rosyjscy nie byli w stanie zaopatrywać wszystkich chorych; chwytano też siłą mocą lekarzy prywatnych i im powierzano pieczę nad słabymi. Pomieszkania też tylko lekarzy były wolne od kwaterunku wojskowego, co w owe czasy było nie małą ulgą i szczęściem. Za „wolne karty" płacono grube sumy, a wystawiane one były tylko za wyraźnem zezwoleniem główno-komenderującego armją rosyjską, ks. Paszkiewicza. Dr. Popper w Miskolczu posiada po dziś dzień taką „kartę wolną". Zaopatrzona jest ona rosyjską pieczęcią i podpisem ks. Barjatyńskiego, późniejszego przyjaciela i powiernika cara Aleksandra II, i nosi datę 8 lipca 1849 roku. Po jednej stronie jest napis w rosyjskim języku, po drugiej w niemieckim i opiewa: „Potwierdza się niniejszem, że na zarządzenie książęcej Wysokości feldmarszałka ks. Paszkiewicza, w dowód uznania zasług dra Poppera, jakie tenże położył około chorych żołnierzy rosyjskich, uwalnia się jego pomieszkanie od kwaterunku wojskowego".

Powszechnie w armji rosyjskiej twierdzono, że powodem wybuchu cholery było zatrucie studzien przez Węgrów. Jak wiadomo w czasie cholery w Petersburgu w r. 1831 żywił lud rosyjski takie samo przekonanie i wówczas zatrucie studzien przypisywał Polakom; w tym samym czasie w północnych Węgrzech niższe sfery zarzucały to samo „panom", zaś we Włoszech i Francji doktorom i aptekarzom. Faktem jest, że w roku 1849 Moskale stawiali wartę przy studniach, wodę sprowadzano pod osłoną bagnetów, a po domach żołnierze podejrzliwem okiem patrzyli na konwie i beczki z wodą. Charakterystycznem jest, że ks. Paszkiewicz wierzył także tej bajce.

Po klęsce pod Waitzen, którą Görgey zadał Moskalom, wojska rosyjskie cofały się ku Hatwan, i w odwrocie kozacy zajęli pod kwaterę dla ks. Paszkiewicza dom państwa Beniczky w Zsambok. Najpierw naturalnie zabrali wszelką broń, tak, że z wielkim trudem Franciszek Beniczky, dzisiaj sekretarz państwa i poufnik Tiszy, zdołał ocalić broń myśliwską. Niebawem przybyli wielki ks. Konstanty i ks. Paszkiewicz i zajęli przeznaczone dla siebie apartamenta. Natychmiast stanęło także dwóch olbrzymich kozaków na straży u studni. Właściciel domu, Adam Beniczky nie umiał sobie w pierwszej chwili zdać z tego sprawy, prędko jednak zrozumiał cel tych środków ostrożności. Poczucie własnej godności nakazywało mu przeciw podobnemu postępowaniu położyć swoje v e t o; pośpieszył też do Paszkiewicza, i rzekł:

„Wasza książęca mości, o zatruciu studni w moim domu i mowy być nie może; jeżeli nam się nie uda zwyciężyć was w otwartem polu, to z pewnością nie chwycimy za sztylet i truciznę. Tego nie uczyni Węgier; to nie jest węgierski sposób postępowania".

Po kilku chwilach zakłopotania podał ks. Paszkiewicz Beniczky'emu rękę i rzekł:

„*Je m'en rapporte à vous, vous êtes un homme honorable*".

Wartę z przed studni ściągnięto natychmiast.

Feldmarszałek Paszkiewicz był dość przystępnym. Otwarte czoło i wystające kości czaszki świadczyły o energji; troski i znoje wyryły wielkie a groźne bruzdy na czole, które się zbiegały w okolicy między brwiami i zdradzały bystrego myśliciela. Obracając się nieustannie na carskim dworze i szczycąc się nieograniczonem zaufaniem swego monarchy był pewnym siebie i swojej władzy. Był uosobieniem przyszłości Mahometa: „Los to ja". W podeszłym wieku stał się zgryźliwym i gwałtownym; lada drobnostka wywoływała u niego gniew, z którym sypał potokiem rosyjskich przekleństw. Jego też adjutanci nie pędzili życia na różach. Znoje i trudy węgierskiej kampanji nużyły go już niewymownie. Za armją jechał w powozie, otoczonym z obu stron sotnią kozaków. Woźnica był ubrany w strój wołoski, opasany szerokim rzemieniem a konie zaprzężone były na sposób rosyjski „w trójkę." W największe upały Paszkiewicz narzucał na siebie ciepłe futro, gdyż podobnie jak Napoleon I czuł nieustanne zimno. Konnej jazdy nie lubiał a gdy już musiał dosiąść konia, to używał ulubionego tłustego mierzynka, średniej wielkości. Barwa twarzy świadczyła o ciągłych cierpieniach żołądkowych, mimo to Paszkiewicz był wybrednym smakoszem, spożywał dużo i wykwintne potrawy i pił często i wiele mocnego wina. Jeśli chciał komu swą łaskę okazać, posełał zazwyczaj kosz dobrego wina. Generał Klapka w szczęśliwej swojej wycieczce z Komorna dnia 3 sierpnia 1849 zabrał dwa statki na Dunaju, napełnione winem, przeznaczonem dla kwatery książęcej.

Opowiadał też później Klapka, że wino było wyborne i wystarczyło na cały czas oblężenia.

Paszkiewicz, jak w ogóle Słowianie, był nadmiarę gościnny i stół jego był zawsze dla oficerów otwarty. Tylko w czasie marszów objadował sam jeden z przybocznym lekarzem, Kurlandczykiem, który studja swe kończył w Dorpacie. Na stół podawano odrazu wszystkie potrawy a książę, wychyliwszy kika kieliszków wódki, kosztował po trosze z każdego dania. Sposób jego jedzenia przypominał słowa Homera: „I podnieśli ręce do dobrze zastawionej biesiady."

Coś rosyjskiego występowało w najbardziej nawet wykształconych oficerach rosyjskich, każdy ochotnie wypróżniał butle i szklanki często gęsto do zapomnienia się. Lepsze elementa znaleść można było w pułkach kawalerji i artylerji. Z pieniądzmi nie liczyli się wcale, rublami i imperjałami rzucali jak plewą, a gdy ich zabrakło to niejeden sięgał do kasy pułkowej.

Po zgnieceniu powstania wracali Rosjanie do kraju przez Lwów. Lwowski garnizon oficerów austrjackich dał na ich cześć wielki bankiet. Austrjaków nie mało ździwiło, iż na ucztę przyszło także kilku piechurów, którzy z oficerami byli za pan brat. Na zapytanie, coby to oznaczać miało, odpowiedzieli rosyjscy oficerowie, że ci piechurzy byli dawniej sztabowcami, tylko mieli „nieszczęście", że coś tam w kasie nie wszystko było w porządku.

Kronika.

Lwów, dnia 5 maja.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej Swej szkatuły gr. kat. komitetowi parafialnemu w Nadwórnej na odnowienie wnętrza cerkwi parafialnej, zapomogi w kwocie 150 złr.

Doktorat. P. Arnold Schorr, kandydat adwokacki rodem ze Lwowa otrzymał stopień doktora praw na wszechnicy lwowskiej.

Wybór uzupełniający trzech członków Rady powiatowej w Tarnopolu z grupy gmin miejskich, gdy pierwszy wyznaczony na dzień 6 marca b. r. nie przyszedł do skutku, rozpisany został ponownie na dzień 24 maja r. b. w Tarnopolu.

Nowy teatr we Lwowie. Komitet techniczny dla budowy nowego teatru we Lwowie odbył wczoraj wieczorem posiedzenie pod przewodnictwem prof. Zacharjewicza. Wybrany z łona komitetu podkomitet zdał sprawę z swoich czynności. Przedłożył mianowicie opinię swoję, że z dziewięciu miejsc projektowanych pod budowę nowego teatru uznał jako najodpowiedniejsze część wałów hetmańskich obok placu Castrum a przed placem Gołuchowskich, tam gdzie dziś płynie Pełtew, której koryto musianoby nieco dalej przesunąć, co będzie wymagało nakładu nadzwyczajnego w sumie 30.000 zł. Nad tą propozycją wywiązała się szeroka dyskusja w komitecie poczem przystąpiono do głosowania, w którem 11 członków oświadczyło się za powyższą propozycją podkomitetu, 4 za wnioskiem p. Marchwickiego (ażeby nowy teatr postawić w ogrodzie miejskim na osi ulicy Trzeciego Maja) — wreszcie p. Sołtyński zgłosił votum separatum za budową teatru na wałach gubernatorskich w miejscu, gdzie dziś stoi gimnazjum niemieckie. Następnie zatwierdzono propozycję komitetu, żeby na wypracowanie projektu rozpisać konkurs, i uchwalono w zasadzie główniejsze jego warunki, a mianowicie: Koszta budowy z całkowitem urządzeniem (wyjąwszy części dekoracyjnej) nie mogą przekroczyć sumy 600.000 zł. Budynek teatralny ma mieć z frontu około 40 metrów szerokości, a wewnątrz obejmować tysiac miejsc do siedzenia, oraz jak najmniej miejsc do stania i to tylko w dwóch najwyższych piętrach. Minimum lóż oznaczono na 48, w trzech kondygnacjach. Bardziej szczegółowe warunki konkursu uchwalone zostaną na następnem posiedzeniu komitetu.

Obchód rezurekcyjny w archikatedrze św. Jura, odbędzie się dziś o godzinie 7 wieczorem przy udziale wyższego kleru gr. kat. obrządku, tudzież reprezentantów władz i wojskowości.

Ze stowarzyszenia „Gwiazda" otrzymujemy następujące pismo:

„Stowarzyszenie rękodz. lwow. „Gwiazda" przy sposobności przeniesienia do grobu familijnego w Drohowyżu czcigodnych zwłok ś. p. Stanisława hr. Skarbka, szlachetnego i wspaniałomyślnego fundatora Zakładu wychowawczego sierót i utrzymania niezdolnych do pracy rękodzielników, poczuwając się do wdzięczności wysyła na ten obchód imieniem Stowarzyszenia swego delegację ze sztandarem, w celu oddania czci dobrze zasłużonemu ojczyźnie synowi i wielkiemu, szczodremu patrjocie.

„Pragnąc najliczniejszem zgromadzeniem się klasy pracującej dać wyraz gorącym uczuciom uznania dla ś. p. wielkiego opiekuna opuszczonych, Wydział zaprasza członków Stowarzyszenia, jak również wogóle wszystkich rękodzielników do zgromadzenia się na cmentarzu Łyczakowskim we wtorek d. 8 maja b. r. skąd pochód o godzinie 7 rano do Drohowyża wyruszy."

Stuletnia matrona. We wsi Polnice w okolicach Włodzimierza wołyńskiego zgasła w zeszłym miesiącu po krótkiej bo parogodzinnej zaledwie chorobie śp. Matylda z Niemysłowskich Raczyńska, wdowa po b. marszałku szlachty.

Nieboszczka dożyła późnego wieku, urodziła się bowiem r. 1787 w Potoku w ówczesnem województwie sandomierskiem, gdzie ojciec jej był cześnikiem. Dziecinne lata młodej Matyldy upamiętniły się głośnym wypadkiem, który wywołał wrażenie nietylko w kraju ale i za granicą. — Kiedy dziewczynka miała 7 lat wieku, porwali ją cyganie i młoda Matylda Niemysłowska z kraju wywieziona, została sprzedaną wędrownej trupie cyrkowej, a jak ich wówczas nazywano „hecarzom" pod dyrekcją słynnego akrobaty Saltoriniego.

Państwo Niemysłowscy po zniknięciu córki jedynaczki niebo i ziemię poruszyli, aby dziewczynkę odnaleść. Ogłaszano sowite nagrody, rozsyłano poszukiwaczy, lecz na ślad dziewczynki nie natrafiono. — Dopiero w pięć lat później schwytani zostali członkowie tej samej bandy cyganów, która porwała Matyldę, i zeznali, że dziewczynka została sprzedaną Saltoriniemu. — Po takiem wyjaśnieniu poszukiwania okazały się łatwiejsze i Matyldę już jako wyćwiczoną akrobatkę rodzice odebrali.

Jak porwanie młodej Niemysłowskiej, tak i odnalezienie jej aż w Neapolu, obudziło wszędzie ogromną sensację. — Śp. Raczyńska miała ośm córek i trzech synów, lecz tak męża zmarłego przed 40 laty jak i wszystkie dzieci przeżyła. Przez ostatnie lata sędziwa matrona przemieszkiwała w domu prawnuka, właściciela Polnic, p. Krzysztofa Raczyńskiego.

Malarzowi Horowitzowi cesarz udzielił medalu sztuki. Niektóre dzienniki doniosły, że jest to znany portrecista polski, p. Horowitz który, mieszka stale w Warszawie. Otóż tak nie jest. Dekoracją otrzymał węgierski malarz Horowitz, mieszkający w Wiedniu. Jego obrazy są umieszczone w węgierskim dziale wystawy.

Długość kolei żelaznych w Europie urosła w roku ubiegłym o 6.166 kilometrów, bo mierzyły one z końcem r. 1886 długość swą na 195.371 a w końcu r. 1887 na 201 537 kilometrów.

W tym przyroście lwia część przypada na Rosję, gdzie przybyło 1.206 kilometrów. W Austrji przyrost wyniósł 699 kilometrów, a poza nią idą Francja i Włochy, na końcu zaś szeregu stoi Anglja, gdzie nowozbudowane koleje nie przekroczyły 100 kilometrów długości.

I to punktualność. To jedno muszę panu przyznać — woła naczelnik biura do swojego sekretarza, że jesteś punktualnym. Od czasu jak pan jesteś w mojej służbie punktualnie spaźniasz się codzień o godzinę z przyjściem do biura!

Na carskim dworze język rosyjski coraz więcej rugaje mową francuską, dotąd posiadającą monopol w świecie dyplomatycznym i dworskim. Opowiadają, że gdy oboje carstwo zwiedzali w r. 1887 zakład wychowawczy dla szlacheckich panien, a panienka wydelegowana do wręczenia bukietu carowej wyrecytowała używaną dotąd formułkę: „*Nous avons l'honneur de saluer Vos Majestés,*" car powiedział do żony: A co nie mówiłem Ci, że znowu powitają nas owem „nous avons" i z ruchem niezadowolnienia odwrócił się od witającej go panienki.

Nauka nie poszła w las. Więc przy tego rocznej wizycie carstwa, nie słyszano już ani słówka francuszczyzny, ale w rosyjskim języku witano i żegnano dostojnych gości.

Zgubiony brylant. Z pomiędzy klejnotów sprzedawanych ze skarbca państwowego w Paryżu brylant zwany Mazarin, zakupiła pani St. Schneider i zgubiła go podczas przedstawienia w wielkiej operze paryskiej.

Kamień ten waży 25 karatów i kosztował 152.000 franków. Ku wielkiej radości właścicielki drogi ten kamień znaleziono w szparze podłogi loży, w której przepędziła wieczór p. Schneider.

Samobójstwa. Alfred Ogonowski, pensjonowany porucznik 55 pułku piechoty, rodem z Brzeżan w Galicji, zamieszkały w Czerniowcach, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru w dniu 2 b. m. w czasie, kiedy żona jego wyszła do kościoła. Powodem samobójstwa byby cierpienia fizyczne, wywoływane koniecznością noszenia kanuli oddechowej w gardle, której nieszczęśliwy od lat 15 używał. Samobójca odebrał sobie życie w sposób okrutny, nabił bowiem naprzód rewolwer prawidłowo a następnie wlał do lufy wody. Skutek wystrzału był taki, że czaszkę roztrzaskał na części, a mózg i oczy przylegly aż do sufitu.

W Berlinie w tych dniach dopuściło się samobójstwa dwóch niedorostków, jeden mający lat 13, drugi mający lat 9! Ostatni rzucił się z okna trzeciego piętra — ponieważ miał być oddany na przymusowe wychowanie — i zabił się na miejscu. Ładne to kwiatki w państwie *der Gottesfurcht und treuer Sitte.*

Znikł bez wieści ze Lwowa Józef Buczkaniec pomocnik drukarski, liczący lat 18 Zachodzi obawa, że się targnął na życie, gdyż chwalił się przed kolegami, że ma rewolwer, a już przed pięciu laty próbował odebrać sobie życie wystrzałem w prawą skroń, od którego pozostała mu blizna.

O defraudacyi w Towarzystwie handlu skórami pisząc wczoraj, wyraziliśmy obawę, czy utrata tak znacznych funduszów nie przywiedzie tej pożytecznej instytucji do upadku.

Pod ręką nie mamy rachunków Towarzystwa za r. 1887 lub 1886, ale z bilansu za r. 1885 czytamy, że fundusz jego rezerwowy z końcem tego roku wynosił tylko 1.219 zł. 15 ct. Obecnie fundusz ten nie wynosi zapewne o wiele więcej gdyż potrzebował on aby urość do tej wysokości, aż 9 lat (1877—1885), a od r. 1882 począwszy, roczny przyrost do funduszu nie przekraczał nigdy 120 zł. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stan obecny rezerwowego funduszu nie jest wyższym nad 1.500 zł., a w obec defraudacji 3.000 zł. nie tylko będzie on straconym, ale będzie koniecznem odpisanie pewnej części udziałów. Stan wpłaconych udziałów przedstawiał się z końcem r. 1885 w kwocie 6.990 zł. 11 c., gdy zaś przeciętnie od roku 1882 wzrastał rocznie o 400 zł., winien przeto z końcem roku 1887 wynosić około 800 zł.

W ślad tego reszta zdefraudowanej kwoty, o ile ją nie pokryje fundusz rezerwowy i zysk z operacji przeszłorocznych, zacięży na udziałach i spowoduje prawdopodobnie odpis 20% z ich stanu.

Prócz tego musimy z obowiązku kronikarskiego zanotować krążące pogłoski, jakoby bilanse z lat ubiegłych nie zupełnie na autentycznyah datach opierały się. Głoszą bowiem, że aby wykazać znaczniejsze zyski z każdorocznych operacyj i usprawiedliwić kosztowną administrację Towarzystwa, wstawiany w rachunek zysków zysk brutto z sprzedaży towarów był illuzorycznym.

Od Rady nadzorczej Towarzystwa oczekujemy, aby wyjaśniwszy ogólny stan sprawy defraudacyjnej, jej przyczyny i skutki — zaprzeczyła pogłoskom, które łacno podkopując zaufanie w zarząd Towarzystwa, mogą zachwycić jego bytem.

Teatr. Dziś w sobotę „Hulaj dusza!" widowisko sceniczne w 8 odsłonach (po raz 11-ty). Jutro w niedzielę popołudniu „Wicek i Wacek", komedja w 4 aktach Z. Przybylskiego, wieczorem: „Życie paryskie", operetka Offenbacha.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** (*Décoré* czyli: „Order Króla Senegambji" — komedja w 3 aktach Henryka Meilhaca.) Gdyby u nas ktoś chciał z przedstawionej wczoraj na naszej scenie komedji Meilhaca wyrobić sobie zdanie o tem, co należy sądzić o dzisiejszych „nieśmiertelnych" francuskiej Akademji, możeby się nie bardzo zbudował. Musiałby sobie powiedzieć, że „nieśmiertelność" we Francji teraz ogromnie — potaniała, Szczęście to jednak, że Henryka Meilhaca nie za tę „komedję" ubrano świeżo w zielony frak, złotemi palmami suto wyszywany; może ona cała nie warta jednej złotej nitki tego fraka, tak w niej wszystkie koncepta płaskie i tanie, tem tańsze, iż zebrane z targowiska pospolitych dwuznaczników, co do którego nie można żywić obawy, iżby na niem kiedykolwiek zabrakło towaru. Owszem coraz to go więcej, a coraz lichszy. — Już to Meilhac nie był nigdy wybrednym w wyszukiwaniu delikatniejszych odcieni dowcipu, zawsze prosto z mosta zajeżdżał, i przesadzał niewybredne koncepta aż do karykaturalnych rozmiarów. Ale w tej najnowszej komedji (właściwie zaś farsie) o której mówimy, wesołą swą muzę rozebrał z najlżejszego negliżu, w którym zapewne wygodnie jej przechadzać się w Nowym Babilonie, uszczęśliwionym prawem rozwodowem p. Naqueta i temi pojęciami w traktowaniu kwestji małżeńskiej, jakie nad Sekwaną panują.

Jednego wszakże i tej farsie Meilhaca, chociaż robionej widocznie sobotnim sztychem na niedzielny targ, chociaż przeładowanej nieprawdopodobieństwami i zbyt przepieprzonej, nie może odmówić ten, kto się na Meilhaca zapatruje jako na satyryka, który umyśl nie przesadza w odsłanianiu nagości, ażeby ją tem mniej ponętną uczynić. Meilhac jest przedewszystkiem karykaturzystą i jako takiego oceniać go należy. Najszczęśliwszy pomysł obrobi on zawsze w formie przesadnej, ale ostatecznie satyra zostanie. Tak się ma i z farsą „Décoré", jak to z poniżej przedstawionej treści niewątpliwie wynika.

Oto p. Collineau, zaszczytnie znany agronom, pała żądzą — powszechną w demokratycznej dziś Francji (o demokracjo!) — pała żądzą ozdobienia swej piersi wstążeczką legji honorowej. Ale cóż, kiedy pan Collineau posiada wuja, także zapalonego demokratę, który jednak tak samo jest zwolennikiem orderowych ozdóbek. Ten wuj jest bezdzietny i wielki bogacz, a przytem niesłychany zazdrośnik. To wystarcza panu Collineau, ażeby zaniechać zamiaru starania się o wstążeczkę legji honorowej. Wuj nigdyby mu nie zapisał przyrzeczonych 200.000 franków, gdyby na jego, t. j. Collineau'a piersi zawisła czerwona wstążeczka wcześniej, aniżeli na piersi zazdrosnego wuja. Ale fatum — może ono jest i demokratyczne — chce koniecznie, ażeby p. Collineau został w jakikolwiek sposób udekorowany. Cóż więc robią dowcipne losy, kierowane pomysłowem piórem autora? Oto wpadają na pomysł bardzo ładny. Pan Collineau jest już od trzech lat żonaty, ale lubi jeszcze awanturki poza domem. Zaś jako szczery demokrata nie może się oprzeć chęci nawiązania stosunku z jakąś damą z z arystokracji. Pożądana sposobność nadchodzi. Zjawia się w Paryżu pewna hrabina Corinthi — bardzo włoska — która wiele ceremonij nie robi — i pozwala odwieźć się do Rzymu. Pan Collinet wyjeżdża tedy pod jakimś pozorem z domu, zostawiając żonę pod opieką przyjaciela swego Edwarda. Ten Edward oddawna już miał pewne plany względem pani Henryki, żony Collineta, i teraz jest u celu swych życzeń. Henryka zgadza się na projekt wycieczki z Edwardem do Harfleur. Edward ma serce bardzo czułe, jest miękki i nerwowy, ulegający, ale na widok cudzego nieszczęścia dusza jego zapala się niezwykłem bohaterstwem. To też zdarza się, że dojeżdżając z Henryką do Harfleur, wyskakuje Edward naprzód z powozu, ażeby ocalić jakiegoś topielca, następnie zaś staje do walki z lwem, który wyrwał się z menażerji, wtargnął do hotelu i o mało co nie rozszarpał bawiącego tam właśnie podówczas księcia Banana Matadi, króla zachodniej Senegambii. Dzieje się to właśnie podczas uczty, na cześć księcia przez municypalność wydanej, podczas której prefekt wygłasza szumne mowy na chwałę murzyńskiego władzcy i sympatyj Francji do plemion Zachodniej Senegambii. — Wdzięczny książę dziękuje nietylko nieartykułowanym swoim djalektem rodzinnym, do którego zasadniczych dźwięków wchodzą mlaskanie językiem i gwizdanie, nietylko bodzeniem w pierś swego zbawcy na sposób wołu, ale nadto przez swego tłumacza zapewnia, że chce dzielnego poskromiciela lwa odznaczyć szczególniejszą łaską, nadając mu order srebrnej jaszczurki. Byłoby to wszystko bardzo ładnie, gdyby fatalny traf nie był zrządził, iż Edwarda wziął jakiś fagas hotelowy w Harfleur za pana Collineau. Dla Edwarda sytuacja okropna: teraz bowiem, gdy wypadek nabiera rozgłosu, gdy cała prasa o nim trąbić będzie, niepodobna ukryć tej wycieczki incognito do Harfleur, co zwłaszcza ze względu na prawdziwego pana Collineau grozi następstwami nader przykremi. Edward i Henryka wracają co prędzej do Paryża i tutaj zastają już pana Collineau, który z wycieczki do Rzymu wrócił... poprostu zachwycony.

Może dlatego właśnie w tej chwili domyślność jego mocno szwankuje, i poczciwiec ani się spostrzega, jak sami drżący o swą skórę Henryka i Edward wmawiają w niego, na podstawie opisów dziennikarskich, że był w Harfleur, że ocalił topielca i stoczył zwycięską walkę z królem zwierząt. Callineau broni się długo, ale gdy wreszcie przynoszą dekret ministra, gdy „sam minister wpiera w niego, że był w Harfleur", Collineau zawiesza z całą demokratyczną dumą i... mężowską naiwnością na szerokich swych piersiach wielką żółto-niebieską wstęgę orderu króla Senegambji. W ten sposób Collineau nie obrazi zazdrosnego wuja, a będzie miał dekorację, na którą tak... dzielnie sobie zarobił. — To udekorowanie naiwnego męża i pseudo demokraty jest satyrą, której dowcipu odmówić niepodobna.

Rzecz ta graną była u nas dobrze, choć należało złagodzić nieco zbyt drastyczny ton djalogu.

Przyjąć ją więc należy z dobrodziejstwem inwentarza: z wszelkiemi nieprawdopodobnemi sytuacjami i niesmacznemi dwuznacznikami, jako rzecz od Meilhaca pochodzącą. Grano ją z dobrem zacięciem. P. Frenkiel zrobił takiego Collineau na scenie, że mu nie jeden ale dziesięć orderów śmiało przyznać by można; p. Kwieciński był dzielnym pogromcą lwa, a p. Piasecki jakby wprost przyjechał z Senegambji. Nie bardzo wdzięczne role Henryki i pseudohrabiny Corinthi spoczywały w ręku pani Kwiecińskiej i Wisłobodzkiej, a zostały oddane z dobrem zacięciem, równie jak pomniejsze rólki pani Piaseckiej, Walewskiego, Szoberta i Starzewskiego. *R. P.*

* **Wystawa obrazów** Henryka Siemiradzkiego otwartą zostanie jutro d. 6 b. m. we Lwowie, o g 10 z rana w gmachu dawnego hotelu angielskiego przy ul. Karola Ludwika. Wystawa obejmuje następujące obrazy: 1) Pokusa św. Hieronima; 2) Greczynka u źródła; 3) Z życia starożytnych; 4) Za przykładem bogów; 5) Wróżbita (Wędrówka kapłana Izydy).

* **Początek I księgi Pana Tadeusza** w przekładzie na dziewięć języków europejskich, — Pod powyższym tytułem wydał sympatyczny pisarz i poeta p. Władysław Bełza niewielką broszurkę, w której zebrał wszystkie przekłady istniejące i wydane w druku, genjalnego utworu naszego nieśmiertelnego mistrza. Naprzód więc cytuje autor w oryginale początek I księgi „Pana Tadeusza" aż do słów:

A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną; na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

następnie podaje ten sam ustęp w dziewięciu językach, naprzód w czeskim (przekład Krasnohorskiej), potem w rosyjskim (przekład Berga), dalej w ruskim (przekład Wołyńca), dalej w białoruskim (przekład Marciukiewicza), we francuskim (przekład Gasztowta), we włoskim (przekład Boito), w hiszpańskim (przekład Mediny), w niemieckim (prz. Lipinera) i w angielskim (prz. Biggsa).

Autor tej rozprawy zadał sobie sporo trudów i mozołów, zanim zebrał te przekłady i doszedł że tylko te istnieją, że zaś arcydzieło nasze nie jest tłumaczone dotąd ani na duński, szwedzki, norwegski, holenderski, ani na węgierski, rumuński, nowogrecki, ani nawet na serbski, kroacki, słowiński język. Następnie niemało mu trudu nastręczyło to, żeby wszystkie te przekłady wydrukować oryginalnemi czcionkami, według pisowni użytej przez tłumaczy. Pokonawszy to wszystko, wydał swą pracę w 200 egzemplarzach i rozesłał do wszystkich w Europie publicznych bibljotek, aby jak powiada w przedmowie, zwrócić na to dzieło uwagę uczonych i poetów tych narodów, które dotąd nie przyswoiły swej literaturze „Pana Tadeusza".

Za tę pracę należy się szczere uznanie panu Bełzie.

W handlu księgarskim pojawiła się ta rozprawa zaledwie w kilkunastu egzemplarzach i wkrótce będzie wielką rzadkością.

* **238.** *Echa muzycznego, teatralnego i artystycznego zawiera*: Adolf Henselt (z portretem), przez J. Kleczyńskiego. — „Galeotto" jutrzejsza premiera w Teatrze wielkim, a) Dramat hiszpański, b) Treść Galeotta, c) Scena z Galeotta. — Z kulą u nogi (opowieść), przez T. J. Choińskiego (dalszy ciąg). — Ideał, opery III., przez Zygmunta Noskowskiego. — Myszka, komedja w 3 aktach Edwarda Paillerona (dalszy ciąg). — Dwa instrumenty na wystawie muzycznej w roku 1888, przez Wojciecha Gersona. — Przegląd dramatyczny, przez Al. R. — Z ławeczki, (feljeton) I., przez Maskę. — Ze świata tonów. — Kronika: Teatr. — Muzyka. — Odpowiedzi od redakcji. — Repertoar teatrów warszawskich.— Feljeton: Miała szczęście (noweletka), przez Andrzeja Theurissa.

Nr. 239. *Echa muzycznego, teatralnego i artystycznego zawiera*: Dramat w hiszpanji II. Manuel Tamayo z Baus (z prtretem), przez W. Janickiego. — Ideał opery, IV. przez Z. Noskowskiego. — Demon, przez W. Gersona. — Z kulą u nogi (opowieść), przez T. J. Choińskiego (dalszy ciąg). — Nowości literackie, przez W. J. — Myszka. komedja w 3 aktach Edwarda Paillerona (dalszy ciąg). — Leopoldiana, przez Aisa. — Nowe książki muzyczne we Francji, przez Almę. — Przegląd muzyczny, przez J. Kleczyńskiego. — Przegląd dramatyczny, przez Al. R — Teatr małoruski. — Ze świata tonów. — Ze świata barw, przez W Gersona. — Kronika: Teatr. — Muzyka. — Sztuki plastyczne. — Rozmaitości. — Odpowiedzi od redakcji. — Repertuar teatrów warszawskich. Feljeton: Debiutantka, monolog oryginalnie napisany, przez M. Gawalewicza. — Dodatek nut zawiera: 1) Fr. Gerscheim. Capriccio na fortepian. 2) B. Godard. Passe pied. 3) J. F. Dobrzański. Taniec polski, na lewą rękę (z niewydanych rękopisów.

Część ekonomiczna.

= **Majowy kupon** od papierów publicznych w Austrji, wypłacony 1 bm., puścił w obieg nie mniej i nie więcej jak 39,300 000 zł.; a gdy równocześnie zapadłe na ten dzień spłaty wylosowanych efektów wynosiły 16,000.000 zł., przeto ogółem 55,300.000 zł. weszło w obrót z początkiem bm.

= **Sprawozdanie** z targu zbożowego na Kleparzu. — Kraków 4 maja.

Przy małych dowozach i ograniczonym ruchu tendencja ogólna jakoteż ceny zboża na dzisiejszym targu na Kleparzu prawie żadnej nie uległy zmianie.

Płacono za pszenicę białą 7.25 do 7.75, żółtą 7.20 do 7.65, czerwoną 7.25 do 7.75; żyto 5.25 do 5.65, jęczmień 5.— do 5.85, owies 5.25 do 5.60 (z akcyzą). — Wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń 3 maja.

Pisząc przed kilku dniami o możliwem w najbliższej przyszłości wstrzymaniu ruchu zwyżkowego, nie przypuszczałem, że tak prędko ziszczą się moje przewidywania. Już koniec wczorajszej giełdy dał temu świadectwo, bo chociaż utrzymały się wysokie kursa, ruch ustał, a tendencja ku odwrotowi była widoczną. Zimnym deszczem na tutejszą zwyżkową gorączkę były berlińskie kursa i słabe usposobienie tamtejszej giełdy. Wyrażało się ono w obniżce na papierach rosyjskich i w usiłowaniach do ponownej kampanji pruskich marek przeciw rublowi. Istotnie od dni kilku papiery rosyjskie uległy dotkliwej deprecjacji, a rubel, który od dwóch miesięcy zwolna ale statecznie dążył do wyższego kursu, z początkiem bieżącego tygodnia począł się chwiać w kursie i z 1 06 zł., spadł znów o centa.

Przyczyny tego szukają tutejsi finansiści w półurzędowych enuncjacjach niemieckiego kanclerza, które w półświetle i półsłówkami napomykają o pewnem naprężeniu stosunków między Rosją a Niemcami. Z owych półurzędowych głosów wieje jakoby obawa o zwycięstwo w Petersburgu partji panslawistycznej, obawa przed ustąpieniem Giersa, a więc przed utrudzeniem w dyplomatycznych stosunkach obu mocarstw. Wchodzi przytem w rachunek przewidywany w niedalekiej przyszłości zgon cesarza Fryderyka i objęcie rządów przez człowieka, który mniej będzie odpornym przeciw zaczepkom panslawistów, bo na tron nie przyniesie ze sobą doświadczenia starego Wilhelma ani pokojowego usposobienia schorzałego ojca, ale przyniesie młodzieńczą butę, żądzę militarnych tryumfów i ślepą wiarę w szczęśliwą rękę wielkiego kanclerza Niemiec.

Tak rozumują poważne sfery giełdowe w Berlinie, i przychodzą do przekonania, że jeszcze nie nadszedł czas, aby zwyżkowemu kierunkowi puścić wodze.

Za tem idzie więc giełda tutejsza, a brak miejscowego popytu i ruchu osłabia jeszcze bardziej tendencją, i choć w grze o ulubione papiery nie widać depresji, lecz nawet drobne awanse, to papiery lokacyjne poszukiwane przez kapitały prywatne, nie szeregują się do wysokości kursu papierów spekulacyjnych i tracą na chwilowej swojej wartości.

Oto ostatnie notowania:

Kredyty austrjackie 278·80, węgierskie 278 75, anglobanki 107·50, uniony 201·25, bankvereiny 89 50, laenderbanki 214·50, ludwiki 205·50, czerniowieckie 215 50, renta papierowa 79·20, srebrna 80·45, złota austrjacka 110·40, 5% papierowa 93·75, złota węgierska 97·55, 5% papierowa 86 10 Rubel 1.05 na ultimo maja 1.04¼.

Telegramy „Przeglądu".

Petersburg 5 maja (pryw.) Według wydanego dzisiaj ukazu, nie wolno żydom mieszkającym po wsiach przesiedlać się z jednej wioski do drugiej. Tym zaś żydom, którzy osiedlili się na wsi przed 3 maja 1882 r., wolno mieszkać w tej samej wsi i nadal. Wszystkim zaś żydom, którzy osiedlili się po wsiach po dniu 3 maja 1882 r., stanowczo pobyt na wsi jest zakazany.

Wiedeń 5 maja (pryw.) Cesarz i następca tronu mają w ciągu lata rewizytować królestwo rumuńskie.

W ciągu maja zjadą się w Baden król Milan i królowa Natalja w celu naradzenia się co do dalszego planu wychowania serbskiego następcy tronu

Konstantynopol 5 maja (pryw.) Śledztwo przeciw wielu uwięzionym wykazało, że t. zw. emigranci bułgarscy, a właściwie awanturnicy rozmaitych narodowości, knują zaburzenia w Bośnji. Porta powiadomiła o tem austrjackiego ambasadora barona Calice i przedsięwzięte zostały środki ostrożności wspólnie z nowym rządem serbskim.

Londyn 5 maja (pryw.) Na zebraniu „liberalnego związku kobiet" uchwalono jako program działania: obalenie rządu, przywrócenie gabinetu Gladstone'a, popieranie jego planu reformy w Irlandji. Przybyła na zebranie żona Gladstona witaną była entuzjastycznie.

Paryż 5 maja. (pr.) Antibulanżyzm wszędzie bierze górę. Rada miasta Lille w departamencie du Nord uchwaliła jednomyślnie adres uznania dla rady paryskiej za wystąpienie przeciw „oszustwu boulanżerskiemu." Wszyscy uwięzieni i skazani w Nancy za ekscesa boulanżerskie są albo nieletni ulicznicy, albo znani nicponie.

Londyn 5 maja (pryw.) W Suakimie oczekują codziennie napadu derwiszów, którzy tylko w nocy pod fortyfikacje się skradają. Hordy pokolenia Boggara zajęły Kordofan i prowadzą handel niewolników i bydła między El Obeid i Chartum. Abu Girgch w 3000 ludzi przyłączył się do Osmana Digmy.

Wiedeń 5 maja. Podkomitet dla sprawy podatku spirytusowego przyjął wnioski dotyczące ułatwień przy prowadzeniu rejestrów naczyń zapasowych i aparatów mierniczych w poszczególnych krajach koronnych, tudzież wnioski dotyczące taniości i trwałości aparatów mierniczych oraz pewnego ograniczenia co do karygodności przestępstw.

Komisja dla sprawy posła Luegera po zbadaniu aktów, przez Luegera przedłożonych, uchwaliła, że akta te nie stanowią bynajmniej dostatecznego materjału dowodowego, któryby upoważniał do cofnięcia nagany wypowiedzianej Luegerowi za jego mowę przeciw Swobodzie.

Proces Schönerera po przesłuchaniu świadków obciążających, ukończył się wczoraj. Wszystkie zeznania świadków zgadzały się w tem, że bytność Schönerera i jego towarzyszy w redakcji *Tagblattu* mogła wywołać w pośród współpracowników *Tagblattu* obawę, i była groźną, a nawet niebezpieczną.

Wiedeń 5 maja. Trybunał państwowy na dzisiejszej rozprawie postanowił na wniosek prokuratora, ażeby świadków, powołanych przez Schönerera jako odwodowych, nie przesłuchiwać.

Tryjest 5 maja. Tutejsza Izba handlowa uchwaliła wnieść do ministerjum handlu prośbę, aby jak najrychlej poczyniło kroki u rządu włoskiego, żeby nakazał władzom cłowym zaprzestać postępowania, niezgodnego z traktatami, z towarami z Austrji wprowadzanemi do Włoch.

Belgrad 5 maja. Były prezydent ministrów jenerał Gruicz, został spensjonowany.

Doniesienie dzienników, że rząd zamierza przez wprowadzenie cenzury ograniczyć swobodę prasy, jest nieuzasadnione.

Kursa giełdowe.

Wiedeń 5 maja, godzina 10 minut 24. — Kredyty austr. 279.90 — kredyty węgierskie —·— — renta wspólna pap. —·— złota węgierska 97.35 — länderbanki 214·58 — anglobanki 107.75 — uniony 203·50 — Staatsbahny 231.50 — Karola-Ludwika 204.35

Usposobienie spokojne.

Z zbożowych targów.

5 maja	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6.10—6.80	6.——6.70	5·50—6 70	6·20—6.85
Żyto	4.20 4.75	4.40—4.8	4.——4.40	4.30—4.80
Jęczmień	3.75—6.50	4.——5 —	3.60—6.—	4.2—5.80
Owies	4.10—5.—	4.30—4.70	4.——4.75	3.60—3 90
Groch	4.— 9.—	4.——9.—	4.25 8.25	4.40 9.—
Wyka	4.50 5.-	4 20—4.75	4.——4.70	4.10—4,80
Rzepak	9.50 10.—	9.— 10.—	9.— 9·7	9.—10.—
Lnanka	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	18.—38·—	17.—35.—	17.—.35—	16.—30.—
Konic. biała	20.—30.—	30—36.—	30.—36.—	33.—46.—
Konic. szwed	30.—36.—	30.—35.—	28.—35—	—.——.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 15—55 nominalnie.

Nowy chmiel od — do — złr. za 56 kilogramów.

Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco —·— do — —

Wiedeń 5 maja. Pszenica 7·53 do 7·55 na jesień 7 76 do —·—. Żyto 6 06 do 6·08, na jesień 6·24 do —·— Owies 5·46 do 5·53, na jesień 5 78 do —·—. Okowita 25 62 — do 25·87.— **Peszt** 5 maja. Pszenica 7·11 do 7 13, na jesień 7·45 do —·— Żyto —·— do —·—, na jesień —·— do —·—. Owies —·— do —·—, na jesień 5·39 do — —. Okowita 24 25 do 24·50 **Berlin** 5 maja. Pszenica 177 25 do — —, na jesień 180 25, Żyto 123 75 do — — na jesień 130·75. Owies 121·50, do — — na jesień 123·50 Okowita 34 —. do —·—, na jesień 36·10.

Lwów. Z Izby handlowej 5 maja 1888.

1. Akcje za sztukę

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	203 25	206 50
„ lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	214 —	217 50
Banku hip. galic 200 zł. w. a.	280 —	285 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —

2. Listy zastawne za 100 złr.

	płacą	żądają
Banku hyp. galic. 5 prc. w. n.	97 25	98 50
„ „ „ 5 „ 10% pr.	100 25	101 50
Banku krajowego 4½% w. a.	92 —	93 —
Tow. kred. galic. 5 „ „ „	100 50	101 60
„ „ „ 4 „ „ „	— —	95 —
„ „ „ 5 „ „ „	100 50	101 60
„ „ „ 4 „ „ „	— —	92 —
„ „ „ 4½% „ „	93 50	94 50
„ „ „ 4% „ „	— —	91 —

3. Listy dłużne za 100 złr.

	płacą	żądają
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	— —	54 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	— —	48 —

39)

Salon i kulisy.

Z angielskiego przetłómaczyła
N. Krzyżanowska.

(Ciąg dalszy).

— Uspokój się pani; jeżeli myślisz o gościach, zebranych w pałacu, rzecz to niemożliwa, chyba, — dodał z uśmiechem, — żeby inna jaka para naznaczyła sobie *rendez vous*, ale za zimno dziś na to.

Przerwała mu ruchem pełnym zniecierpliwienia.

— Wracając do rzeczy, — ciągnął, — nadmieniam tutaj, iż obie siostry: Barbara i Stella, obrały sobie zawód sceniczny. Pomimo wielkiego talentu, rozpoczynały zaledwo karjerę dramatyczną, gdy Stella opuściła już teatr, aby poślubić Newella Hatton, który się w niej od pierwszego zakochał widzenia. Pod względem, jak pani wiesz, potajemnie, przyczem Barbara miała nadal zamieszkać z nimi, wyrzekając się nazawsze publicznej karjery. Co to, niedobrze ci, miss Hatton? — zapytał nagle, dojrzawszy, iż dziewczę zachwiało się i, tylko dzięki poręczy od ławeczki, zdołało zachować równowagę.

— Czy mam ciągnąć dalej? Zdajesz się pani bardzo być bladą; może lepiej rozmowę odłożyć na inny czas; zemdlenie bowiem tu i o tej porze, musiałoby zwrócić na nas ogólną uwagę.

— Nie lękaj się pan, lepiej mi już, — zapewniła stłumionym głosem. — Proszę, kończ opowiadanie; słucham uważnie.

Mówiła spokojnie, a jednak dźwięk jej głosu poruszył lepszemi strunami w duszy aktora. Kto wie, gdyby o mniejszą chodziło stawkę, zawróciłby się jeszcze może. Zawahał się, po chwili zaś, przyspieszonym ciągnął głosem:

— Z początku młodemu stadłu wszystko w *couleur de rose* się przedstawiało. Wielmożny Newell Hatton raczył kochać piękną swą żonę przez całe sześć miesięcy, Stella też czuła się niewypowiedzianie, doskonale szczęśliwą. Widok ten mniej może zachwycał jej siostrę. Patrzeć na upojenie innych, nie bywa to rzeczą zazwyczaj ciekawą. Podczas tak, gdy gruchołanie nader jest miłem dla gołąbków widzowie nudzą się niem wkrótce. Barbara Orde, sama nie pospolitą obdarzona pięknością, a przytem ambitna, namiętna, prędzej to od innych odczuła; nie mogąc zaś znieść dłużej monotonnego *trio*, porzuciła dom siostry i wróciła na scenę, ku wielkiemu zgorszeniu arystokratycznego szwagra, który zakazał żonie wszelkich z siostrą nadal stosunków. — Proszę, pozwól mi pani dokończyć opowiadania inną razą, — przerwał Bryant nagle, — jesteś widocznie chorą, i sama siły swe przeceniasz.

— Nic mi nie jest, — zapewniła tonem, w którym brzmiał dźwięk głębokiego cierpienia. — Mów pan dalej. Czy sądzisz, iż zaznałabym spokoju, nieposłyszawszy końca całej tej historji? Mów pan dalej, błagam, mów dalej! — wybuchnęła namiętnie, przyciskając ręce do szalenie bijącego serca.

Aktor mniej już pewnym opowiadał głosem:

— Kilka szczęśliwych miesięcy szybko minęło. Kochający mąż zaczął obojętnieć stopniowo. Małżeństwo jest, według znanego przysłowia, śmiertelną mogiłą miłości. Znudziwszy się ciągłem odmienianiem słowa „kochać, czcić i szanować", paniczyk próbował nietylko zaniedbywać żony, ale, pomimo arystokratycznych instynktów, okazał się brutalnym gburem i nikczemnym egoistą. Kierowany tak szlachetnemi uczuciami, porzucił wreszcie nieszczęśliwą, pozostawiając ją i dziecię swe, bez żadnej na świecie opieki. Wtedy, chcąc zdobyć sobie chleba kawałek, Stella Orde powróciła do sceny i dawnego nazwiska. Czując, iż mąż nie ukaże się więcej, pragnęła gorąco odszukać siostrę i wspólnie z nią już pchać taczkę żywota. Przez czas jednak zerwania stosunków, piękna Barbara zniknęła bezpowrotnie, wszelkie zaś usiłowania w celu odszukania jej, bezowocnemi się okazały. W kilka miesięcy później, los ukochane nawet odebrał jej dziecię. Stella zniosła z poddaniem śmierć jego, w akcie zejścia zaś, nie wahała się podyktować rzeczywistego nazwiska swego syna, wskazując jako jego ojca, Newella Hattona, którego była żoną.

Drżące nogi młodej kobiety wymówiły jej nadal posłuszeństwo. Niezdolna utrzymać się na nich, opadła na wskazywaną wpierw ławeczkę, z rękoma przyciśniętemi do serca, którego bicie piersi rozerwać jej chciało.

— Niedość bogata, aby pozwolić sobie na zbytek opłakiwania syna, Stella Hatton po śmierci jego musiała grać dalej na scenie. Występując w mieście prowincjonalnem, gdzie trupa ich dobrego doznawała przyjęcia, nieszczęsna odnalazła swą siostrę. Barbara powróciła do niej, przynosząc w ramionach maleńkie dziecię, córkę tą razą.

Z bladych ust słuchającej okrzyk bólu się wyrwał. W zbielałych wargach jej ani jedna kropla krwi nie pozostała. W czarnych oczach straszna paliła się trwoga; a jednak nie była jeszcze przygotowana na cios, grożący jej za chwilę.

— Czy mam pani opowiedzieć, w jaki sposób wróciła pod dach rodzinny owa piękna, ambitna Barbara? — ciągnął dalej z naciskiem, pojmując widocznie całą doniosłość okrutnych dziejów przeszłości, które z taką poruszał swobodą. — Noc była zimna, dżdżysta: Stella Orde też, niezbyt silna i zmuszona ochraniać swe zdrowie, a zajmująca bardzo skromne w oddalonej części miasta mieszkanko, wracała dorożką do domu. Zaledwo zapłaciła stangreta i klucz we drzwi wsunęła, z ciemnej części korytarza wysunęła się uboga ubrana kobieta i, wyszeptawszy gasnącym głosem kilka niezrozumiałych wyrazów, runęła u stóp jej, usiłując ostatniem wytężeniem woli, dziecię swe od niebezpieczeństwa upadku ochronić. Otworzywszy szybko drzwi, Stella Orde uklękła, by ratować nieszczęśliwą. Gdy jednak światło lampy padło na rysy jej, z ust artystki wydar się okrzyk radości i bólu zarazem. Odszukała nareszcie swą siostrę!

Na chwilę straszna zapanowała cisza. Napół błędne, z orbit wychodzące oczy Stelli, przykute zostały do zdradliwych ust Bryanta, z których kropla po kropli trucizna jad swój w duszę jej sączyła. Trupio blade rysy oświecone przelotnym błyskiem listopadowego słońca, zdawały się w nieruchomości swej być tylko śmiertelną maską pięknej dziedziczki Elsdale'u. Nieszczęsna, takiego też doznawała wrażenia, jak gdyby z ostatniem dźwiękiem słów, roztrząsających spokojnie straszny dramat, serce jej zamarło w piersi nazawsze.

— Skąd pan wiesz to wszystko? — zapytała wreszcie urywanym głosem.

— Skąd wiem? — powtórzył. — W bardzo prosty sposób, — oto po Stelli Orde ja przypadkiem to samo wynająłem mieszkanie, gadatliwa gospodyni zaś najmniejszego z całego zajścia i ze śmierci Barbary Orde nie oszczędziła mi szczegółu.

— Umarła więc?

— Tak. Na pół skostniałą wniesiono do ciepłego pokoju, uwalniając dziecię z zesztywniałych jej ramion. Otulone jedynym szalem, jaki na obiedwie posiadały, różowe i uśmiechnięte spało sobie spokojnie. Matka zaś, która je kosztem własnego życia ocaliła od zmarznięcia, ocucona nareszcie, najpierw o skarb swój się spytała. Ujrzawszy córkę na ręku siostry, uspokoiła się nieco. Kobiety, które mi opowiadały scenę tę później, nie mogły się od łez powstrzymać.

Głowa miss Hatton opadła na piersi. Czuła, iż nogi jej sztywnieją, a dziwne jakieś zimno wstrząsa, pomimo bogatych futer, całą postacią.

— Rozebrano ją z ubogiego, przemoczonego odzienia, — ciągnął Bryant dalej, — i mdlejącą od głodu i ostatecznego sił wyczerpania, do miękkiego złożono łóżka. Najtroskliwsze jednak starania nic już uczynić nie zdołały, ratunek zapóźno przyszedł. Nędza i nieszczęście moralne dokonały dzieła zniszczenia; konała w oczach, ciesząc się śmiercią, o tyle, o ile nieszczęsna cieszyć się jeszcze czemkolwiek mogła!

Głos młodego człowieka zmiękł mimowoli. Nawet jemu przykro było mówić o zgonie istoty, którą znał w samym kwiecie młodości i urody. Myśl o śmierci jej poruszyła mimowoli lepszą struną jego uczuć.

— Gdy przytomność wróciła jej na chwilę, — ciągnął, — kilka słów starczyło za spowiedź przed siostrą. Tak mało zresztą miała do powiedzenia! Na palcu jej nie błyszczał wąski pasek złota, który, przybierając postać ślubnej obrączki, staje się jedynym puklerem i obroną kobiety. Nadużyto zaufania jej, została zdradzona. Czyż stare te, a zwykłe dzieje, potrzebują bliższych wyjaśnień. Stella Orde nie pytała nawet o nie; sama osierocona i nieszczęśliwa, przytuliła do serca nieszczęsną dziecinę, która z łaski ojca, nikczemnika i tchórza, miała już dziś tylko konającą matkę i ją na całym świecie.

— To nieprawda! nieprawda!

Słowa te wybiegły z trudnością na zsiniałe usta Stelli, która, zerwawszy się odurzona i szaloną wstrząsana rozpaczą, nie chciała jednak uwierzyć w cios, jaki jej zadawano.

— Niestety, fakta to niezbite, — potwierdził stanowczo. — Barbara Orde umarła, pozostawiając bezimienną swą córkę opiece siostry, która zasmucona utratą własnego syna, przygarnęła do serca sierotkę. Konając, Barbara wymogła tylko na niej przysięgę, iż nigdy nie powie małej Stelli o przeszłości jej matki, że ją nie jak siostrzenicę, a jak własne wychowa dziecko. Widziałem w lat parę maleńką: była to śliczna, łagodna dziewczynka, która dla osieroconego serca ciotki istną stała się pociechą. Ujrzałem ją później w pierwszem zaraniu dziewiczego wdzięku, i zdumiała mnie rzadką swą pięknością. Gdy wreszcie spotkałem ją po raz trzeci, zdziwienie moje granic nie znało. Miejsce uroczego dziewczątka, zajęła zimna i wyniosła kobieta, istota zaś, której pierwsze lata wstyd i hańba otaczały, była dziedziczką i przedstawicielką jednego z najstarszych rodów, uwielbianą narzeczoną dumnego magnata i para Anglji.

— To nieprawda! Nieprawda!

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor. **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: W. Hodak.